Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Rok II Warszawa 4 kwietnia 1934 r. Nr. 7

CZŁOWIEK W POLSCE

Cena egz. 60 gr.

Prenumerata kwartalnie w kraju zł. 3.— za granicą zł. 4.—

Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. w tekście zł. 1.— za tekstem 60 gr

Redakcja i Administracja: Warszawa, Grójecka 45 m. 15

Telefon 9-40-17
Konto P. K. O. 28.399

Redaktor przyjmuje codz. od 5 — 7 Pop

Wychodzi dwa razy w miesiącu

Święto wiosny, święto przesilenia dnia z nocą, święto budzącej się przyrody — powrotu Kory-Persefony z Hadesu — mistyka budzącego się życia — usymbolizowana w chrześcijaństwie Zmartwychpowstaniem Boga-Słowa po zmożeniu mocy piekielnych — zaiste w tym roku zda się nieść nam nowe rzeczy — nowe wielkie zjawiska i nowe zwycięstwa nad bezwładu otchłanią.

Wszystko mówi, że okres najgorszy jest już poza nami, że w ludzkość zwolna wstępuje wiara, iż z tem największem złem, jakeśmy poznali, z żywiołem kryzysu walczyć możemy i potrafimy, że, jak w każdej innej walce, niezłomna, świadoma swych celów wola zwycięży. I ta wola objawiła się u nas.

Stanęliśmy samodzielnie wobec innych narodów, sami pokój tworząc, sami zawierając ugody z wszystkimi, co skłonność po temu okazali. I w blasku tego pokoju wychowujemy już nie mięso armatnie, ale obywateli, których czeka twórcza radosna praca. Życie nasze ujmujemy w coraz jaśniej się rysujący plan, który pozwala nam ożywić stosunki z narodami innymi, wzmagać wymianę z niemi — wymianę wytworów pracy i myśli.

Pomimo ogromnych ograniczeń zdołaliśmy zgromadzić środki na uruchomienie wielkich robót ukulturalnienie kraju, podniesienie poziomu jego życia, położenia podwalin pod zrozumiałe dla wszystkich prawo do pracy należne każdemu mieszkańcowi Rzeczypospolitej.

Noc przesiliła się. Nowa wiosna zwiastuje nie tylko sezonowe ożywienie jak to się często mówi, ale szerokim frontem podjęty atak na pozycję bierności i martwego wyczekiwania.

Noc przesiliła się. Zima jest poza nami.

I dokonał się jeszcze jeden wielki zwrot po którym może najwięcej się można spodziewać, który najwiarogodniej nam istotną poprawę zwiastuje —zwrot ku człowiekowi ku jednostce ludzkiej.

Wojna nauczyła nas ją poświęcać, poświęcać na każdym kroku dla każdej myśli, a nieraz dla każdej chimery. Stawała się ona składową wielkich cyfr któremi operowano dla wykonania pomysłów.

Ten straszny, okrutny pogląd osiągnął punkt szczytowy i widać już jak się ku przepaści chyli. Wszystko się zrywa do przywrócenia Człowiekowi jego dostojeństw. Wszystko, co teraz powstaje budować usiłuje nie na masie, lecz na człowieku, na jego sile i charakterze. A tę siłę i charakter wykrzesać może jedynie miłość.

I oto dlaczego w dniu obecnego przebudzenia wiosny obchodzić będziemy Istotne Zmartwychpowstanie myśli chrystusowej i powstanie Wielkanocne: Chrystus Zmartwychwstał naprawdę, nie będzie czcze.

W powiciu jest wielki dzień przyszłości, który witamy, a młodziutkie, lękliwe, blade źdźbła nadziei — niech wybujają w mocny pień wielkiej, niezłomnej — wiary.

MŁODZIEŻ O ANKIECIE

Umieszczając ten głos ciekawy ze względu na środowisko, podnosimy, że stwierdza on tylko jedno — oto, że obcy jest środowisku, z którego pochodzi zapał pionierski. W naszej ankiecie na przyszłość będziemy szukali sposobów wzbudzenia go. (Red.).

O ruchu na prowincję i na wieś, jako środku rozwiązującym bezrobocie wśród inteligencji, o zadaniach kulturalnych i społecznych tego ruchu wypowiadało się wiele osób. Byli to zawsze bądźto organizatorowie i kierownicy życia inteligenckiego, bądź przedstawiciele tych, którzy już pracują, lub usiłują pracować. Słowem ludzie starsi, których poglądy opierają się na przeżytych doświadczeniach. Dla uzupełnienia tej jednostajności materjału ankietowego, zwróciłem się z zapytaniami do tych, którzy dopiero za parę lat się usamodzielnią — do młodzieży akademickiej. Przeprowadziłem kilkanaście rozmów, w tem parę zbiorowych, tak, że w artykule tym znajdą oddźwięk opinje przeszło trzydziestu osób. Zaznaczę na wstępie, że głosy te pochodzą w przeważnej mierze z kół młodzieży postępowej, czynnej w życiu społecznem. Jednostronność niestety nie do uniknięcia, gdyż zapytania, kierowane do przedstawicieli innej młodzieży nie dawały rezutatu. Albo nie rozumiano sensu ankiety, albo unikano odpowiedzi zdecydowanej.

Student prawa w następujący sposób ustosunkowuje się do kwestji poruszonych w artykule, inaugurującym ankietę:

„W zasadzie zgadzam się, że inteligencja musi w swoim własnym interesie ruszyć na prowincję. Mnie osobiście nic specjalnego nie zatrzymuje w Warszawie. Pojechałbym z chęcią gdzieś do małego miasteczka, czy nawet wsi. Tylko, żeby to nie było ze szkodą dla mnie. Dlatego po skończeniu prawa muszę pozostać parę lat w większem mieście, aby uzupełnić studja. Nie kończą się one przecież z opuszczeniem uniwersytetu. Tu nasuwa mi się jedna wątpliwość. Jeśli przez tę parę lat uda mi się zaczepić w mieście, napewno w niem zostanę, przecież wieś nigdy nie da mi tylu możliwości i nie zaspokoi moich wymogów kulturalnych. A ponieważ w mieście zostaną zawsze zdolniejsi, (pominąwszy tych, którzy mają protekcję), na wieś pójdą ci, co odpadli w walce — mniej wartościowi. Czy to będzie dla wsi z korzyścią?".

Ten motyw troski o selekcję materjału przebija i w odpowiedzi młodego handlowca: — „Chodzi przedewszystkiem o to, aby właściwi ludzie szli na właściwe miejsca. Dlatego należy wstrzymać odpływ wybitniejszych jednostek ze wsi. Ta wsiowa inteligencja zna doskonale miejscowe warunki i ona przedewszystkiem powinna pracować na terenie wiejskim, odciążając w ten sposób miasta. Inteligencji napływowej, przychodzącej do wsi z miast, trzeba dać bardzo silny podkład ideowy, inaczej, sprytniejsza od tubylców, będzie ich wyzyskiwać, zamiast podnosić".

Studentka drugiego roku medycyny mówi: — „Doskonale siebie wyobrażam na wsi. Tam jest tyle pracy, a ja tak lubię pracę. Wytworzyłabym wokoło siebie środowisko kulturalne. Ale, żeby wytrzymać tam dłużej, musiałabym mieć koło siebie kogoś — męża, dzieci. I musiałabym nie czuć się samotną w pracy. Gdybym wiedziała, że w każdej wsi, w każdem miasteczku są ludzie, którzy pracują, jak ja, że nasza wspólna działalność jest planową i że doprowadzi do celu, wytrzymałabym. Inaczej załamałabym się chyba nerwowo".

Starszy, prawnik, przygotowujący doktorat, cofa się do wspomnień. — „Widziałem akcję rozpylania inteligencji ukraińskiej w ziemi halickiej. Powinniśmy się na niej wzorować. Myślę jednak, że dobrowolne osiedlanie się inteligencji na prowincji nie doprowadzi do celu, nie usunie względnej nadprodukcji inteligencji. Państwo musi ująć w ręce po pierwsze selekcjonowanie materjału, idącego na wyższe uczelnie w sensie ilościowym i jakościowym, a potem, po drugie, zająć się planowem rozsiedlaniem absolwentów. Unormowana produkcja i celowe rozmieszczanie stanowią jedyny środek, rozwiązujący zagadnienie bezrobocia inteligenckiego. Organizowane dorywczo akcje są tylko półśrodkami".

Przysłuchujący się humanista dodał:

„A ja sądzę, że i ujęcie przez państwo akcji nie dopomoże, gdy nie zmieni się naszej inteligencji, nas. My się boimy samodzielności i dlatego nie idziemy na prowincję, gdziebyśmy musieli zająć stanowisko kierownicze i ponosić odpowiedzialność, choćby moralną za naszą pracę. Wolimy być kółkami w wielkich maszynach miejskich, niż puszczać w ruch wiejskie. Są wśród nas również ludzie ambitni, tym znów nie wystarczają ograniczone horyzonty prowicji. Cóż to znaczy trząść jednem, dwoma, lub trzema gumnami, gdy ma się nadzieję zrobić wielką, europejską karjerę... Pierwszej grupie należy dać zastrzyk ambicji, drugiej wytłumaczyć, że i wieś jest terenem o możliwościach niezwyczajnych, naturalnie dla nieprzeciętnych ludzi".

Te pięć odpowiedzi stanowią zaledwie wycinek zebranych materjałów. A oto próba syntezy:

Młodzież rozumie twardą konieczność częściowego przesiedlenia się inteligencji. Tylko, że jest to jeszcze młodzież. Każdy chowa wewnątrz, w sobie, — „swoje" marzenia. Każdy spodziewa się, że je urzeczywistni, że będzie „kimś" i mimo wszystkie zapewnienia, ma głębokie przekonanie, że stać się to może wyłącznie w mieście. Wyrosłemu w wielkiem skupowisku ludzkiem, trudno się z niego wyrwać. Ma tu zupełnie inne otoczenie, może się zabawić, wyżyć kulturalnie, społecznie. A wieś stanowi dla niego poświęcenie i wymaga całkowitej zmiany „siebie". Radjo, książki z wysyłkowej wypożyczalni, rozmowy z dwoma, czy trzema osobami, podobnemi sobie, nie zaspokoją go, a ciągle ta sama praca, wśród tego samego otoczenia, kryje niebezpieczeństwo zautomatyzowania, niemniejsze, niż jednostajne zajęcie biurowe. Tego boją się młodzi i tego chcą uniknąć. Dlatego powstają projekty, by pracę na prowincji traktować, jako pewien przejściowy, ale przymusowy etap życia każdego inteligenta, by wprowadzić stałe krążenie ludzi między wsią i miastem. Dlatego chce się wśród młodzieży konieczność gospodarczą przystroić w ideę i to nie w oderwane pojęcie podniesienia kultury wśród chłopów, lecz w skonkretyzowaną myśl przebudowy społecznej wsi.

Przypominam jeszcze raz, że tak mówi młodzież aktywna, uspołeczniona. Obok niej istnieją

masy ogromne i biernością swą niepokojące. Po nich wszystko spływa, jak woda i chyba tylko jakiś ogromny, nagły nacisk rozpaczliwej nędzy, może je popchnąć ku wsi. Tylko wątpliwem jest, czy wsi przyniosą one korzyść. Dlatego wylania się ogromne, nowe zagadnienie — przebudowy psychiki inteligenckiej, nieubłaganej konieczności, jedynie zdolnej rozwiązać w całej pełni zawiły problem klasy bez stałego punktu oparcia, klasy zawieszonej dziś w próżni.

Może zatrudno

Czytam ja u Pana jedno po drugiem wezwanie na wieś. Siedzę na wsi całe życie i wiem, jaka tu jest praca. Wiem też, ile tu jest do zrobienia. Tylko jedno mnie niepokoi w tych wszystkich wezwaniach. Do kogo one są skierowane? Pan mówi do pracowników umysłowych? Ale czyż naprawdę wśród tych zredukowanych ludzi pospolicie bez wykształcenia, bez inicjatywy, przyzwyczajonych do pobierania na pierwszego pensji, czy zasiłku, a wypranych gruntownie z samodzielności, znajdzie Szanowny Pan wielu, którzyby się zdecydowali na takie rzucenie się głową wdół?

Utopja, Szanowny Panie Redaktorze! Utopja! Widzę ja tych zredukowanych — to materjał, pominąwszy wyjątki, który się do wszystkiego nada — tylko nie do samodzielnej pracy. A Bogiem a prawdą, to w większości swej wogóle do niczego się nie nada. Im trzeba obmyśleć jakieś posady, albo zasiłki i dać spokój.

Natomiast, Panie Redaktorze, wezwanie Pańskie może znaleźć grunt podatny u zgoła kogo innego, u jakichś złodziejaszków i wydrwigroszów, którzy rzucą na wieś tak, jak owi cywilizatorzy ziem nowo - odkrytych, aby za paciorki złoto zdobywać. Tych może Pan zachęci. I rzuci się na wieś ława cała obieżyświatów. Pewno — niejeden zarobi. Może niejeden w końcu będzie do miasta wracał po przez kryminał. Ale taka fala do resztyby popsuła tylko stosunki pomiędzy wsią i miastem.

To też otwarcie piszę, Panie Redaktorze, dajcie Panowie spokój z taką agitacją. Można ją szerzyć pośród młodzieży i to ostrożnie i to tylko wśród tych najlepszych — ale nie pośród ogółu. Niech Pan nie łudzi tego ogółu, że ten, kto w swojem własnem środowisku nic nie zdziałał potrafi sobie poradzić w środowisku obcem, nieznanem sobie.

Proszę przyjąć to ostrzeżenie szczerze od starego przyjaciela i naprawdę znawcy stosunków wiejskich.

Ludwik Świeprawski.

O zagadnieniu populacyjnem

Dający się zauważyć i u nas w ciągu ostatnich kilku lat spadek urodzeń wywołuje duże zainteresowanie ze strony naszych niemieckich sąsiadów, bacznie śledzących bieg dziejów Polski. Jak z radością donosi pismo: „Klinische Wochenschrift" Nr. 31/1933 (cyt. wg. pisma: „Lekarz Polski" 1/1934) liczba urodzin w Polsce w czasie 2 lat spadła z 32,3 (1930) na 28,7 (1932) na każdy tysiąc, czyli w ciągu 2 lat zmniejszyła się o blisko 100 tys. Wraz zatem z dość znaczną jeszcze u nas śmiertelnością ogólną oraz ogromną śmiertelnością niemowląt — zmniejszenie się liczby urodzin prowadzi do zaznaczającego się już w Polsce spadku przyrostu ludności. Nie wdając się w żadne teoretyczne rozważania, każdy lekarz społecznie myślący, a zwłaszcza lekarz-położnik, musi *in vivo,* w samym gąszczu życia, rozstrzygnąć zagadnienie to — czy ma do niego rękę przyłożyć, czy też w miarę swoich sił i możliwości — zwalczać go powinien. Otóż tak prostolinijnie sprawy, niestety, brać nie można. Szereg momentów, a to ogromnej i doniosłej wagi winno się uwzględnić przy próbie rozwiązania tego tak palącego a żywotnego, stanowiącego wszak o przyszłości kraju — problematu.

Lekarz, stykający się oko w oko z bezbrzeżną niedolą i nędzą kobiety ubogiej, która udział swój na rzecz potęgi i rozwoju swego kraju ojczystego, już spłaciła, urodziwszy 8- 10-ro wycieńczonej, chorowitej, rachitycznej dziatwy, zostaje częstokroć przez tąż rodzicielkę na nowo zaalarmowany. W jej izdebce, na strychu lub piwnicy się mieszczącej znowuż dokonany został wielki, a elementarny akt z misterjum natury — zapłodnienie jej, nie licząc się — rzecz prosta — z następstwami. Na samą wiadomość o stwierdzonej ponownie ciąży — zrozpaczona kobieta dostaje poprostu szału. Błaganiami lub groźbami (o samobójstwie lub zabójstwie dziecka, niejednokrotnie faktycznie w czyn wprowadzanemi) „szturmuje" lekarza, jedyną ostoję i nadzieję w tym, doprawdy, dużym a nowym ciosie, który ją spotkał. Padł na nią, wyczerpaną i nie wypoczętą jeszcze po poprzedniin, dopiero przecież odbytym porodzie. Grozi i błaga o przerwanie jej tej ciąży, nienawistnej i przeklinanej. Lecz bezsilny i bezradny staje tu lekarz wobec niebezpieczeństwa zakazanego poronienia, które już czyha na tę kobietę, gdyż przepisy prawne, surowe, a nieubłagane już w tej sprawie zawyrokowały. Korzystać może jedynie z tej małej furtki, którą mu prawo pozostawiło, — mianowicie, z prawa zwolnienia społeczeństwa i narodu od „przybytku", którym miałaby obdarzyć je matka z daleko posuniętemi chorobami. Te właśnie matki, którym ich los „uśmiechnął się", obdarowawszy je daleko posuniętą chorobą płuc, wadą serca lub innem, ciężkiem cierpieniem, a które to ciąża obecna jeszcze bardziej nasili — mogą być skierowane przez lekarza na „legalne" przerwanie ciąży. Z ogromnej części pozostałych „średnio" słabych, „dostatecznie" jedynie małokrwistych, schorzałych, zmizerniałych po niezliczonych nieraz porodach i poronieniach biednych matek rodu — jedynie część bardziej „zasobna" w 10 lub 15 zł. dostanie się w ręce „doświadczonych" babek-zbrodniarek, które to albo okaleczą je na całe życie, albo odrazu nieraz uśmiercą. Przeważająca natomiast większość „odtrącona" przez lekarza — ima się najróżnorodniejszych, najbardziej barbarzyńskich (względem siebie) sposobów, byleby pozbyć się, rozpaczą i nienawiścią wpojonego w łonie swojem płodu. Ciężarne kobiety podejmują się jakiejś pracy nad siły, np. noszenia nadmiernych ciężarów (słynnych „worków z kartoflami"), długiego prania, *dźwigając naładowane balje,* zeskakując ze stołów itd.

Jak podaje znany higjenista dr. Kacprzak w

swoich nader ciekawych „Badaniach nad rozrodczością w Polsce" — niekiedy zdarzają się przytem „rzeczy" niewiarogodne, a jednak prawdziwe. Bywają wypadki nieludzkiego wprost pobicia umyślnego żony przez męża (za jej zgodą) lub umyślnego upadku ze schodów lub tramwaju, przeskakiwanie przez rowy itd., w celu wywołania poronienia. Zalewa nas zatem fala wciąż rosnących poronień, żadnemi karami nie dająca się wstrzymać (zresztą plaga poronień jest zmorą wszechświatową). Gdyż wchodzi w grę tu zacięta i zawzięta wola kobiety do ostateczności, do muru przez swoją niedolę przypartej (albo „to" dziecko, albo ja!). Siłą rzeczy wysuwa się zatem na miejsce naczelne zagadnienie ogromnie aktualne i decydujące tak w życiu kobiety pojedyńczej, jak i również narodu i Państwa — zagadnienie regulacji urodzin.

Warto zaznaczyć, iż w tej sprawie dają się ostatnio słyszeć głosy przychylne. a to ze strony czynników dotychczas bezwzględnie, ew. negatywnie wrogo wobec kwestji regulacji usposobionych. Są to głosy wprawdzie pojedyncze, ale tembardziej charakterystyczne. Tak np. dr. Zajdlicz na którego dziełku p. t.: „Odkrycie Dr. Ogino. Rozwiązanie zagadnienia regulacji urodzin ze stanowiska katolickiego" widnieją aprobujące napisy: „Nihil obstat", jak również „Imprimatur", a który napisał swoją pracę „po głębokiej rozwadze i po *zasięgnięciu rady osób najbardziej świiatłych i miarodajnych*", gdyż kwestję, którą porusza, słusznie uważa „za najbardziej drażliwą i brzemienną w skutki, tak daleko idące, że bez cienia przesady powiedzieć można: chodzi tu o los duszy i ciała miljonowych rzesz, chodzi o przyszłość całego narodu". Otóż dr. Zajdlicz opierając się na odkryciu Dr. Ogino i dr. Knausa, poucza małżonków o terminie najlepszym koncepcji, zaznacza, iż czas już „byśmy poczęli rozumieć, że obowiązek dostarczania przyszłych obywateli. to coś więcej, niż pozostawianie naturalnego biegu siłom natury. Obowiązkiem względem Boga i społeczeństwa jest dać nietylko dużo dzieci, ale też dbać o ich jakość, o warunki, w których wyrosną, zdrowie ich i wychowanie". Na zakończenie dodaje, iż „mniejszą rozrzutność przyrody ma zastąpić większa higjena duchowa i fizyczna. zmniejszenie liczby urodzin wyrówna mniejsza śmiertelność. A wtedy przyjdzie czas, gdy Polska potrafi spełnić swe wielkie zadania, których nie rozwiąże, dopóki jedynie ślepy instynkt decydować będzie o rzeczy najdonioślejszej, jaką jest nietylko zachowanie — ale i *udoskonalenie* gatunku, bez którego podołać niezdołamy coraz trudniejszym warunkom bytu, ani zwyciężyć w coraz ostrzejszej walce narodów. A nadewszystko nie zrealizujemy Królestwa Bożego na ziemi... Umyślnie dłużej, a to ze zrozumiałych powodów, zatrzymałem się na rozważaniach Dr. Zajdlicza (Poznań). A oto głos Krakowskiego Twa Ginekolog. (posiedz. nauk. z dn. 8.VI.33 w sprawie świadomego macierzyństwa"). Odrzucając wyraz „świadome macierzyństwo" jako „nasuwający pewne wątpliwości i mający pewien posmak sensacji". (?) Two Ginekologiczne uznało, iż jeśli chodzi o treść i cele akcji, nazwanej ogólnie regulacją urodzeń — uważać ją należy w dzisiejszych warunkach za słuszną, a to z następ. powodów: 1) negatywne stanowisko jest z punktu widzenia lekarskiego a priori nieracjonalne wobec tego, że prawodawstwo nasze nie zakazuje wystrzegania się ciąży z żadnych względów; 2) ciężkie warunki ekonomiczne, bezrobocie, nędza mieszkaniowa, niedostateczne opiekowanie matką i dzieckiem oraz wysoki odsetek śmiertelności u dzieci wysuwają względy społeczne w Polsce w ujęcie tego zagadnienia na jedno z pierwszych miejsc. Sposób przeprowadzenia akcji regulacji polegaćby powinien: a) na pouczeniu kobiet, zasięgających porady, jak uchronić się od zajścia w ciążę, o ile zachodzą pewne wskazania lekarskie i społeczne, b) na walce z masowem przeprowadzaniem poronień, c) na staraniu o wydaniu noweli do ustawy, omawiającej przerwanie ciąży w kodeksie karnym polskim, które uwzględniłoby wskazania społeczne do przerwania ciąży, d) na opiekowaniu się matką, które stanowić winno jedno z najważniejszych ogniw w akcji regulacji urodzin.

Podobne stanowisko w sprawie kontroli urodzeń zajął Krak. Zw. Lekarzy K. Ch. Nad zagadnieniem zasadniczem polityki populacyjnej: czy tylko na ilości samej czy też na jakości przedewszystkiem przyrostu ludności Polsce zależy, zastanawia się również A. Plutyński w swoich nader ciekawych rozważaniach w pracy: „Bezdzietne Niemcy a Polska" (Warszawa 1933, nakładem Ligi Morskiej i Kolonjalnej). Stwierdzając fakt bezwzględnej a żadnemi środkami nie dającej się już powstrzymać depopulacji Niemiec na tle dość dużego jeszcze naturalnego przyrostu w Polsce — autor nawołuje do żywej wymiany myśli w sprawie populacyjnej, która ma decydować o losie i rozwoju kraju. Uważając, iż wcale, rzecz prosta, nie przedstawia się jakości — nie wypowiada się ostatecznie jaką drogą ma kroczyć Polska ku potędze i rozwojowi wszystkich swoich sił żywotnych — czy drogą nieograniczonego rozrostu drogą ofiar z wygodności i zamożności szerokich warstw ludności, zrzeczenia się ryzyka życiowego i silnego rozwoju drogi młodości, czy też odwrotnie, wygodniejszą drogą ograniczenia liczby urodzin, drogą łatwiejszego życia dla jednostki a zmniejszenia liczebności, zadań i aspiracji narodu.

Stoimy zatem na rozdrożu: nie posiadamy jeszcze (stawiamy jedynie pierwsze kroki) szeroko a gruntownie obmyślanej polityki populacyjnej, nie wiemy jakiemi drogowskazami się kierować. A życie codzienne wciąż woła i nagli, woła ustami zrozpaczonych matek, wciąż zmuszanych do produkowania na mękę i udrękę powstających istot, nagli do decyzji los rozpaczliwy żon: matek. tych, częstokroć przez męża porzucanych z powodu ciąż nieustannych, nagli i woła troska o zdrowie i życie kobiet tych tak często na *va banque* zakażenia połogowego stawiających i przegrywających.

Dr. E. Bir-ski.

WALKA ZE SPOŻYCIEM.

Kiedy chodziło o rozpowszechnienie spożycia wyrobów monopolowych nie wahano się zezwolić na palenie w tramwajach, choć napewno więcej ludzi jest takich, którzy inowację tę przyjęli z niechęcią, niż takich, co się z niej cieszyli. Ale... tej samej miarki nie zastosowano do prasy. W czasie długiego kursu człowiek bardzo chętnie przeczytałby gazetę. I nieraz by ją kupił właśnie dlatego, by się nie nudzić w tramwaju. A tymczasem sprzedawanie gazet w tramwajach jest licho wie dlaczego — niedozwolone. Chłopcy łamią ten zakaz, publiczność walczy z nim nieomal solidarnie — a biedny konduktor ze strachu przed kontrolerem musi go przestrzegać. To jest walka z konsumcją, walka z czytelnictwem, walka z prasą — walka nieuzasadniona niczem, walka szkodliwa, której jak najśpieszniej trzeba kres położyć. Naprawdę nikomu nie szkodzi, że ten chłopak - sprzedawca go potrąci. To drobiazg. Niech będzie nieco luźniej w tramwajach, a potrącać nie będzie. I nikomu nie zaszkodzi, jeżeli jakiś gazeciarz darmo jeden czy drugi kurs przejedzie. Ożywiać się musimy, nie łazić wiecznie namaszczeni, bo w tem namaszczeniu poprostu skiśniemy.

W pracy swojej o Mickiewiczu popełnił p. prof. Kleiner kilka pomyłek. Zdarza się. Sprostował je znakomity publicysta rosyjski p. Filosofow, doskonały znawca polskiej literatury. Wywołało to najzupełniej niespodziewaną napaść na niego ze strony prof. Kridla, który w nielojalny, arbitralny i niekulturalny sposób wystąpił zastrzegając się przeciwko „niepowołanym mentorom", insynuując p. Filosofowi specyficzny stosunek do Polski rosyjskiego „inteligenta", który się nic na naszych sprawach nie zna.

Słusznie p. Marja Dąbrowska w świątecznym numerze Wiadomości Literackich ostro i stanowczo napiętnowała tę nielojalną, zaściankową, przez dziką ksenofobję podyktowaną napaść godną zaiste trzeciorzędnego dziennikarzyny, ale nie uczonego, za jakiego chce uchodzić (prawdopodobnie) p. prof. Kridl. Stwierdzamy przecież, że wypad tego pana nie jest i nie może być uważany za wyraz opinji cywilizowanej Polski, że tego niesmacznego wystąpienia Polska żałuje, i zawsze rada jest słyszeć głos swego miłego gościa, za jakiego uważa p. Filosofowa w sprawach, na temat których znany i wypróbowany jego takt i wiedza przemówić do nas zniewoli tego świetnego pisarza.

Wystąpienie p. Marji Dąbrowskiej jest szlachetne i bardzo na czasie.

WIDMA.

Po różnych zakamarkach opieki społecznej błąkają się jeszcze niestety widziadła „cnotliwej" dobroczynności, która wciąż jeszcze każe podchodzić do człowieka ginącego, zaczynając od inkwizytorskiego pytania: „czy ty zasługujesz?" „Czy twoje życie było dość bogobojne, abym ci miał pomóc?" „Czy aby nie skaziłeś się jakimś grzechem, który nakaże mi przejść nad twojem cierpieniem obojętnie?".

Żyje to wszystko nietylko w zdeklarowanej filantropji pewnych kół dobroczynnych, ale nieraz nawet w instytucjach społecznych, powoływanych przez pracę z mocy ustawy. A świadczy o tem bodaj fakt, że oto w jednej z najpoważniejszych instytucyj warszawskich wydane zostało (coprawda tylko ustne) rozporządzenie o tem, że do poradni świadomego macierzyństwa wolno (i to w wypadkach wyjątkowych) skierowywać urzędowne mężatki — w żadnym razie kobiety w księgach stanu cywilnego zapisane jako panny, pozostające w „dzikich" małżeństwach.

Co to kogo obchodzi — że takie małżeństwa „dzikie" są zjawiskiem społecznem, są zjawiskiem powszechnem? Co to kogo obchodzi, że w tych „dzikich" małżeństwach rodzą się dzieci. „Cnota" zakazuje o tem mówić i zakazuje o tem wiedzieć. Kobieta z takiego małżeństwa nie będzie mogła korzystać z poradni. Skutek jasny — będzie się rodzić więcej nieślubnych dzieci, właśnie tych, wśród których panuje największa śmiertelność, właśnie tych, które stają się najczęściej ofiarami dzieciobójstwa, których życie jest najcięższe, które najwięcej udręczenia na świat przynoszą.

O skutkach też pomyślano zresztą i wydano drugi nakaz, już poprostu bezprzykładny. Oto wolno ostatecznie zajmować się matką nieślubną, ale tylko tą, która ma pierwsze dziecko. Jeżeli już ma drugie — ma być wyświecona z pomocy, pozbawiona jakiejkolwiek opieki. Gdzie tu miłość bliźniego? Gdzie koniec końców prawo — ustawa?!

Najłatwiej byłoby zarządzenie tego rodzaju wykpić i ośmieszyć. I możebyśmy na tem poprzestali, gdyby nie fakt, że zaszło to nie w prywatnem stowarzyszeniu, któremu ostatecznie wolno rozwijać działalność w takich środowiskach, jakie mu najlepiej odpowiadają. Ale kpiny stają się nieprzystojne, jeżeli coś podobnego zachodzi w instytucji publicznej, państwowej lub samorządowej. Tu trzeba ostro i stanowczo powiedzieć — hola! Tu nikomu nie wolno stosować jakowychś „poglądów" na „dzikie" czy cywilizowane małżeństwa. Prawo do opieki ma człowiek. Sądzić tego człowieka może sędzia, może ksiądz w konfesjonale, ale nie jakiś urzędnik większy czy mniejszy. Pomoc należy się prawnie obywatelowi, czy obywatelce, bez względu na to, jak żyje i czy jest legalnie urodzony, czy poślubiony. I o tem niewolno zapominać nikomu. Niewolno nikomu stawiać przy udzielaniu pomocy warunków innych, niż te, które określa ustawa.

Tym razem pomijamy nazwiska i nawet samą nazwę instytucji. Nie chodzi nam bynajmniej o dyskwalifikowanie takiej czy innej osoby. Chodzi nam o fakt i o zarządzenia, które powinny być natychmiast cofnięte.

Zdarzenia i uwagi

OGRANICZENIA POSŁÓW I SENATORÓW.

Nowa ustawa w sprawie zajmowania pewnych stanowisk przez posłów i senatorów znacznie ogranicza ich prawa. Ponadto ustawa ta stwarza warunki egzekutywy, gdyż z chwilą stwierdzenia uchybienia przeciwko niej winny traci mandat odrazu. Ustawa ta rozpatrywana będzie dopiero na następnej sesji sejmowej. Znamiennem jest jednak że projekt ten został w osobnym liście do posłów i senatorów BBWR ogłoszony przez prezesa pułk. Sławka wraz z żądaniem, by wszyscy parlamentarzyści, należący do Bloku już dziś doń się zastosowali i zlikwidowali wszystkie stosunki, któreby naruszały rzeczony projekt. Fakt ten należy podnieść jako dowód odpowiedzialności Bloku za pożyteczną inicjatywę w kierunku oczyszczenia naszego życia publiczengo.

NAUCZANIE NIE-POWSZECHNE.

Jak wykazują cyfry, w samej Warszawie brak będzie w roku przyszłym miejsca dla 9 tysięcy dzieci w szkołach powszechnych. Liczba ta jest większa jeszcze, gdyż właściwie należy do niej dodać około 2-tysięczną rzeszę dzieciaków, która opuszcza szkołę nie dlatego, że ją skończyła, ale dlatego, że przekroczyła wiek obowiązku szkolnego. Jest to przeważnie młodzież najuboższa, która nie miała w domu możności uczenia się, nie miała świetlic, któreby jej ten dom zastąpiły. Obecnie odchodzi to wszystko ze szkoły bez jakiejkolwiek możności kształcenia się zawodowego i skazane jest na życie niefachowych zarobników.

Magistrat miasta Warszawy usiluje zdobyć jeszcze 90 izb szkolnych. Zdajemy sobie sprawę z trudności takiego zdobywania. Ale z liczby tej wnioskujemy, że Magistrat nie marzy nawet o możności urzeczywistnienia powszechnej szkoły w roku obecnym, gdyż w 90 izbach 9000 dzieci się nie pomieści.

CHOROBY ZAKAŹNE.

Cyfry dotyczące chorób zakaźnych w Polsce bynajmniej nie są pocieszające. Stwierdzają one, że stan zdrowotny u nas się pogarsza i to dość poważnie. Bierzemy pod uwagę przeciętną tygodniową zachorowań na miesiąc luty następujących po sobie lat 1931-go, 2-go i 3-go i 1934-go. W czasie tym mieliśmy w Polsce duru brzusznego wypadków: 113, 160, 215 i 171. Ostatni więc rok wykazał polepszenie względem zeszłego, ale musi być uważany za zły. Cyfry analogiczne dla duru osutkowego wynoszą 46, 52, 88 i 172. A co ważniejsze wzrostowi temu odpowiada skok śmiertelności z 2.8 na 12 proc. Dyfteryt w tym czasie wzmógł się z 273 na 381 wypadków, odra z 693 na 1,152 krztusiec z 88 na 182, gorączka połogowa z 30 na 37. Pewien nieznaczny bardzo spadek wykazuje tylko szkarlatyna (351 na 294).

Jest to zjawisko istotnie groźne. Łączy się ono ściśle z bezrobociem, gdyż człowiek pozbawiony pracy nie może korzystać już z opieki ubezpieczalni społecznych. A że tak jest potwierdzają cyfry, które mówią zupełnie wyraźnie, że ilość zachorowań zwiększyła się wybitnie właśnie w najbardziej uprzemysłowionych częściach kraju. Do sprawy tej wypadnie nam jeszcze powrócić.

ZAROBKI ROBOTNICZE.

Przeciętny zarobek robotnika w Polsce wynosił w sierpniu roku zeszłego 28,01 zł. tygodniowo, czyli niespełna 120 zł. miesięcznie Zarobki te przecież rozkładały się bardzo nierównomiernie. 50 zł. i więcej, to znaczy kwoty wystarczające na skromne, ale przynajmniej nie głodne życie zarabiało zaledwie 10 proc. Od 40 — 50 zł. tygodniowo, to znaczy kwoty przy których można ułożyć jaki taki budżet otrzymywało zaledwie 9 proc. Cała ogromna reszta brała poniżej owego minimum naprawdę egzystencji. Od 30 — 40 zł. zarabiała jeszcze stosunkowo nieznaczna ilość to jest 17 proc. Od 20 — 30, to znaczy od 80 do 120 miesięcznie miało już 27 proc. Również 27 proc. zarabiało od 10 do 20 zł. — wreszcie poniżej 10 — aż 10 proc. Cyfry te są bardzo znamienne. Wykazują one, że ciężka praca całodzienna nie daje możności w największej ilości wypadków bo w 65 proc. nawet nędznego utrzymywania dla najmniejszej rodziy; że zaledwie 10 proc. pracującej ludności może nieco swobodniej oddychać.

Płace te stanowią bardzo poważne niebezpieczeństwo społeczne. Z jednej strony robotnik u nas nie może być uważany za dobrego spożywcę — z drugiej praca w ten sposób wynagradzana nie może stanowić siły przyciągającej. Jeżeli tej sytuacji nie zmienimy zupełnie radykalnie, to dojdziemy do tego, że zawód bezrobotnego stanie się godnym zazdrości. Polepszenie płac powinno być hasłem — hasłem bardzo aktualnem dla wszelkich poczynań społecznych.

46 NIE 48.

Komisaryczny prezydent m. Warszawy zawiesił wprowadzenie 48-godzinnego tygodnia pracy w przedsiębiorstwach miejskich. Zarządzenie to spotkało się z powszechnem uznaniem. Samorząd, który swe przedsiębiorstwa traktuje dochodowo, niema prawa wykorzystywać szkodliwych dla pracowników ustaw — niema najmniejszego prawa ograniczać do minimum zdobyczy społecznych pracowników.

To też zarządzenie p. woj. Kościałkowskiego jest rozumne i szlachetne.

EMIGRACJA.

Emigracja do wszystkich krajów w r. 1927-ym objęła 147 tys. osób, rosnąc stale i osiągając w roku 1929-ym najwyższy punkt 243 tys. Z tego na emigrację europejską przypadało 171 tys. — zamorską 65 tys. Od tej chwili rozpoczyna się gwałtowny spadek — tak że w roku 1932 cała nasza emigracja wynosi zaledwie 21 tys. osób. Z tego 11,7 tys. pozostaje na kontynencie a 9,6 udaje się za morze. Rok 1933 znamionuje już pewne ożywienie ruchu. Opuszcza Polskę bowiem już 35,5 tys. osób. Wzrasta wychodztwo do krajów europejskich, przedewszystkiem do Francji, osiągając cyfrę 18,5 tys. Zamorska emigracja wzrasta jeszcze poważniej bo do 17 tys. Zyskała nieco Brazylja i niewymienione kraje Ameryki południowej. Ale przedewszystkiem wzmogło się wychodztwo do Palestyny, dochodząc do nienotowanej dotąd cyfry 10 tys. osób. Od roku 1931-go wzrasta więc emigracja żydowska bardzo poważnie.

Jeżeli chodzi o powrót wychodźców, to osiągnął on punkt kulminacyjny w r. 1928-ym (119 tys.) aby spadać potem zrazu wolno, potem w tempie przyśpieszonem do 18,8 zys. w r. ub., w który znów emigracja osiągnęła niewielką przewyżkę nad powrotem. Wzrastał jedynie do roku 1931 ruch powrotny ze Stanów Zjednoczonych. A. P., utrzymywał się przez cały czas na mniej więcej równym poziomie powrót z Argentyny. Brazylijska emigracja wykazała najwięcej stałości, nad którą wszakże góruje jeszcze wyraźniej emigracja palestyńska. Ruch powrotny stamtąd wynosił w r. 1927-ym przeszło dwa tysiące osób, czyli trzykrotnie

przekraczał ilość wychodźców. Dziś spadł do 66 osób, co świadczy o tem, że Palestyna staje się coraz bardziej chłonną i coraz lepiej przystosowaną na przyjmowanie nowych fal imigracji.

OBRÓT BEZGOTÓWKOWY.

Niezmiernie charakterystyczną rzeczą dla porządkowania się obrotu pieniężnego w Polsce jest ruch na kontach czekowych PKO. Ilość ich od roku 1928-go stale wzrasta i uległa załamaniu jedynie na przełomie r. 1930—31, kiedy z 65,1 tys. spadła na 64,8 tys. Wzrost potem nastąpił dość szybki i pomimo kryzysu osiągnął już w roku zeszłym pokaźną sumę 72,337. Jeżeli chodzi o sumy pieniężne, jakie przepływały przez te konta — to w r. 1928 opiewały one na 21,2 milj. zł., aby w następnym roku osiągnąć 24 milj. — poczem zaznaczył się spadek, który w roku 32 osiągnął 21,79 milj. Rok jednak 33 wykazuje wzrost do wysokości nienotowanej 25,2 miljonów. Z całości tych obrotów na bezgotówkowy przypada coraz większy odsetek. W roku 28-ym stanowił on 61 proc., w roku zaś zeszłym doszedł do 73 proc. A ze ruch ten trwa nadal świadczy fakt, że w lutym r. 1934 obrót bezgotówkowy stanowił już 74,5 proc. całości.

ZAPALNICZKI.

Poruszyliśmy w swoim czasie sprawę zapalniczek. Obecnie zajęły się nią i inne pisma. Otóż pokazało się, że w ostatnim roku do ostemplowania zgłoszono tylko 128 zapalniczek, gdy tymczasem w kraju jest ich około miljona. Zapalniczka ostemplowana należy do muzealnych zabytków, a miljon obywateli Rzeczypospolitej najspokojniej w świecie używa zapalniczek — przemyconych. Ba, gdyby przemyconych. Ale właśnie, że nie. Bo przecież przez granicę wolno każdemu przewieść dla własnego użytku jedną zapalniczkę. I skoro wolno przewieźć — więc wolno i darować, a obdarowanemu wolno używać. To jest wybieg dla każdego, kogo się złapie z zapalniczką.

A oto rachunek. Zapalniczkę można kupić już za 1.50 gr., benzyna dla niej kosztuje nie więcej niż 20 gr. miesięcznie — kamienie nawet monopolowe tez 20 gr. Zapalniczka może służyć minimum pół roku. Wydatek cały w ciągu tego czasu wynosi 4 zł. 10 gr. Zapałki, najtaniej licząc, w ciągu tego czasu kosztowałyby10 do 15 zł. Zapalniczek używają urzędnicy, policjanci, kolejarze, a nawet sami akcyźnicy, sędziowie, prokuratorzy — wszyscy. Wzywanie więc w tym wypadku do stosowania represyj jest nonsensem. Trzeba usunąć podstawy tego rodzaju nadużyć. Gdyby opłata za zapalniczkę wynosiła 1 zł. — to ostemplowanoby wszystkie zapalniczki w kraju i dochód skarbu wynosiłby z tego źródła nie tysiąc, ale miljon złotych. Dzisiejszy stan tej sprawy jest do najwyższego stopnia niemoralny, niemoralną jest bowiem rzeczą zmuszać obywatela do używania przestarzałych i drogich zapałek zamiast nowoczesnych, wygodnych i tanich zapalniczek. Minister skarbu, który nareszcie weźmie się do uporządkowania tej sprawy, odda usługi nietylko samemu skarbowi, ale i podatkowi wogóle. Błąd dyletanta, który dopuścił do tej sytuacji, winien być naprawiony.

REALIZACJA NIEPODLEGŁOŚCI.

Sprawa kolejek dojazdowych w Warszawie stała się jej przed sądy polskie przez Magistrat Warszawy, podniesiona została przez Towarzystwo Belgijskie zasadnicza kwestja kompetencji sądów polskich w dziedzinie rozważania nieporozumień pomiędzy stroną polską a zagraniczną. Zdaniem Belgów sądy polskie nie mają tu nic do gadania, gdyż wszystkie sprawy z nimi należeć mają do arbitrażu międzynarodowego. Stanowisko niezmiernie charakterystyczne, sprowadzające nas do roli pół-barbarzyńskiego państwa, któremu nie podlegają obcy przedsiębiorcy i kapitaliści, nawet wtedy, gdy u nas pracują. Warszawski Sąd Apelacyjny rozwiał pod tym względem złudzenia kapitału zagranicznego i zastrzegł rozstrzyganie spraw cywilnych pomiędzy osobami prawnemu, pozostającemi w Polsce dla sądów polskich. Obok Żyrardowa stała się więc sprawa kolejek dojazdowych jednym z poważnych aktów uporządkowywania naszych stosunków gospodarczych.

GODNE UWAGI.

W roku 1933 sprowadziliśmy: mydeł toaletowych i leczniczych, bielidła, różu, pudru, środków do farbowania włosów, pomad kosmetycznych itp. 855 q wartości 1.814.000 zł.

Z zakresu drobnych wyrobów metalowych przywieźliśmy w r. 1933: szpilek, haftek, sprzączek itp. 316 q, wartość 256.000 zł.

W tymże okresie sprowadziliśmy: igieł do szycia, igieł do maszyn do szycia, prądków do pończoch i szydełek przeszło 200 q, wartości około 1.000.000 zł.

Ponadto przywieźliśmy w r. 19333 środków do czyszczenia obuwia 321 q, wartości ok. 150.000 z.

Past wszelkich, środków do czyszczenia metali itp. 4.239 q, wartości 588.000 zł. — (wobec 575 q, wartości 324.000 zł. w r. 1932).

Gospodynie polskie i uświadomione gospodarczo i obywatelsko panie domu szczególnie baczine przyjrzeć się powinny wymownym tym cyfrom

PRZEROST UBEZPIECZEŃ.

Z niemałem zdumieniem zwracaliśmy uwagę na artykuł „Gazety Polskiej" w sprawie rzekomego przerostu ubezpieczeń. Z przyjemnością stwierdzamy, że na tych samych szpaltach ukazała się na ten artykuł bardzo mocna odpowiedź. Autor jej dr. E. R. w znakomitym wywodzie stwierdza, że Polska wydała na ten cel w r. 1928-ym zaledwie 5 proc. tego co Anglja, 90 proc. tego co Italja, 66 proc. tego co o połowę mniejsza Czechosłowacja i zaledwie dwa razy tyle co sześciomiljonowa Szwecja. Polska w tym czasie wydała 480 miljonów — Francja zaś, która później od nas wprowadziła ubezpieczenia aż 5 miljardów franków.

Legendę o obciążeniu produkcji rozbija autor, podając, że ubezpieczenia obciążają koszt wydobycia węgla do 4,2 proc., wartość produktów metalurgicznych 1,64 proc., włókienniczych — 0,57 — 0,97 proc., naftowych 0,5 proc. Stosunek ten uległby poważnej zniżce, gdyby brać pod uwagę ceny handlowe tych produktów. Po rozprawieniu się z innemi argumentami swego przeciwnika autor kończy następującą słuszną uwagą: „Podstawowym elementem siły Państwa jest zdrowy, zdolny do pracy obywatel. W interesie państwa, leży, by istniały instytucje powołane do opieki nad zdrowiem i zdolnością do pracy pracownika, kórego jedynym kapitałem, jedyną wartością i podstawą egzystencji jest zdrowie i zdolność do pracy... I ubezpieczenia społeczne stały się jednym z kamieni węgielnych państwowej i społecznej polityki nowoczesnego państwa".

Wielka szkoda, że artykuł ten został uznany za dyskusyjny. Powtarzamy, że zupełnie rozumiemy konieczność dyskusji o organizacji ubezpieczeń, którą trzeba doskonalić nieustannie, ale zupełnie nie rozumiemy w jaki sposób w organie urzędowym dopuszczono do sporów na temat samej zasady ubezpieczeń — zasady przyjętej przez wszystkie dotychczasowe rządy, a znacznie rozszerzonej przez rządy pomajowe. Taka urzędowa opozycja w tej dziedzinie bynajmniej nie jest wskazana.

Prezesi, prezesi

Pan Prezes... Wiemy wszyscy, że prezesów jest u nas bardzo wielu, ale nie zdajemy sobie doprawdy sprawy, jak wielu. Każde najmniejsze prowincjonalne miasteczko ma ich kilku, większe kilkunastu, czasami kilkudziesięciu.

A jednak nie jest ich więcej, niż organizacyj, którym prezesują (mówimy bowiem o prawdziwych prezesach, a nie o tych „grzecznościowych", kreowanych przez kelnerów w restauracjach i fryzjerów: „psze paa prezesa"). A organizacyj jest tyle, ilu prezesów, może nawet więcej, bo w braku ludzi jeden często przewodzi dwu lub trzem. Ile nie wiem, ale w każdym razie bardzo wiele. Chyba nawet za wiele.

Nasza prowincja jest coprawda wdzięcznem polem do pracy społecznej. Do zrobienia jest tam bardzo dużo, czasem nawet wszystko. Ale zapas ludzi, których do pracy społecznej zwerbować można, z jakimś dla sprawy pożytkiem, bynajmniej nie za wielki. Inteligencja skupia się w stolicy i w dużych miastach i to sprawia, że żyjemy ciągle pod fałszywą, a bardzo silną sugestją nadprodukcji inteligencji.

Kto zetknął się bliżej z życiem prowincji tej głębszej, jeśli nie zupełnie głębokiej, ten zdaje sobie doskonale sprawę, że stan prowincji pod tym względem daleki jest od stanu nasycenia, nie mówiąc już nawet o przesyceniu. Poprostu tej inteligencji na prowincji jest za mało, zbyt mało nawet w stosunku do obecnych potrzeb kulturalnych i materjalnych. Ponieważ zaś te potrzeby, mimo czasowych zahamowań, przez pogorszenie się warunków gospodarczych, rosną w znaczniejszym stopniu, niż dopływ sił świeżych, więc stosunkowy niedobór sił inteligenckich na prowincji będzie z biegiem czasu wzrastał, a nie malał. Oczywiście, jeśli nie uda się w psychice społeczeństwa przełamać pewnych uprzedzeń i nieuzasadnionych niechęci.

Nie chodzi nam jednak w tej chwili o stan przyszły, lecz o obecny.

W naszych mniejszych miastach i miasteczkach inteligencji jest mało, mało jest ludzi, którym możnaby powierzyć pracę społeczną. Bo przecież do tej pracy nie każdy się nada, nie każdy będzie umiał ją prowadzić. Zwłaszcza u nas, gdzie procent ludzi aspołecznych i aorganizacyjnych nie jest wcale nikły. W rezultacie na barki kilku ludzi zwala się cała robota. I to nie jest złem, którego możnaby uniknąć. Na czele każdej pracy społecznej wysunie się zawsze tych kilku obdarzonych instynktem społecznym i zdolnościami organizacyjnemi.

Zło leży w czem innem. Pojemność miasteczka dla pracy społecznej jest ograniczona. W Warszawie, Łodzi, Poznaniu, Lwowie czy w któremkolwiek innem dużem mieście może kilka organizacyj prowadzić tanie kuchnie dla bezrobotnych, kilka organizacyj zakładać może bezpłatne czytelnie, bibljoteki, świetlice. Będą to organizacje o rożnem zabarwieniu społecznem, o rożnem zasadniczo podejściu do sprawy, rekrutujące swych członków z pośród ludzi, wyznających różne poglądy społeczne, moralne, a nawet last not least polityczne. Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych nie będzie wspierał ani współpracą, ani materjalnie czytelnik „Gazety Warszawskiej", ten, kto wpłaca składki na „bezrobotnych narodowców" w tejże „Gazecie", nie będzie ich namawiał, żeby szli do strzeleckich obozów pracy i t. d. To oczywiście są przykłady krańcowe, których za wzór nie zamierzamy stawiać.

Ale weźmy przykłady inne: Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, organizując swoje kursy i wykłady popularne, nie przeszkadza tem zupełnie w organizowaniu drużyn ratowniczych przez Polski Czerwony Krzyż. Bo w wielkiem mieście i ludzi dużo, i miejsca dużo, i zadania bardziej skomplikowane do wypełnienia wymagają zróżniczkowania.

Towarzystwo Ochrony Kresów Zachodnich nie przeszkadza w Warszawie istnieniu Towarzystwa Przyjaciół Kresów Wschodnich. Dla obydwóch teren działania i propagandy aż nadto obszerny.

Ale małego miasta prowincjonalnego nie stać na więcej, niż na jedną kuchnię dla bezrobotnych, która zresztą może całkowicie podołać zadaniu, nie stać na więcej niż jedną bibljotekę, czytelnię lub świetlicę. Nie chodzi już tutaj o środki materjalne, lecz poprostu o „zapotrzebowanie".

Tymczasem każda stołeczna organizacja społeczna uważa za punkt honoru tworzenie oddziałów prowincjonalnych. I tu na ciasnym terenie małego miasteczka następuje groteskowe poprostu stłoczenie organizacyj, których większość oczywiście ograniczać się musi do zbierania składek jedynie. W organizacjach tych zarządy składają się z tych samych ludzi, niekiedy wszystkich aktywnych obywateli miasteczka, którzy jednocześnie stanowią jedyną kadrę ich członków.

W małem miasteczku kresowem znalazłem np. tak groteskową sytuację (o czem pisałem już gdzieindziej), że *dziesięciu* aktywnych społecznie obywateli tworzyło kadrę członków i zarządy *jedenastu* organizacyj społecznych. I wszystkie te organizacje były „czynne". Nietylko zbierały składki, ale odbywały walne zebrania, posiedzenia zarządów, wysyłały do swoich centrali sprawozdania ze swej „działalności". W rezultacie robiło wszystko dwóch czy trzech ludzi, ale panowie ci, jak i pozostali zresztą również, należeli do wszystkich organizacyj. Każda zosobna mogla w sprawozdaniach przyznać się do ich inicjatywy. A ci trzej nie protestowali, bo nie mieli czasu na prostowanie, uzgadnianie. Chodziło im o rzecz samą, żeby była dobrze przeprowadzona. Zresztą takie sprostowanie, toż to kij, włożony w mrowisko partykularnych ambicyj i ambicyjek.

W innem mieście powiatowem w innej zresztą dzielnicy działa np. Rodzina Urzędnicza, Policyjna, Kolejowa i Zw. Pracy Obywatelskiej Kobiet. Chyba dosyć, żeby przy nieuniknionej grze nienagannych zresztą ambicyj pań prezesek rozbić i uniemożliwić pracę społeczną kobiet. W tym konkretnym wypadku wszystko idzie składnie jedynie dzięki niezwykłym zdolnościom dyplomatycznym jednej z prezesek, która zawsze w porę potrafi zażegnać burzę czy spór. Ale jak mi mówiła, ta praca uzgadniania i łagodzenia pochłania cały jej czas i energję, którą wolałaby spożytkować dla pracy bardziej konkretnej.

Nie chcę mnożyć przykładów i nużyć nimi

czytelników. Sądzę, że te wystarczą. Zwłaszcza, że każdy, kto choćby najpobieżniej zna życie prowincji, uzupełni je sobie z zapasów własnej obserwacji.

Stwierdziliśmy stan faktyczny samego zagadnienia, stwierdzić również chcemy, że cała sprawa dojrzała już zupełnie do reformy. Zaczynają o tem myśleć sami działacze prowincjonalni, na których barki ten cały przecież monstrualny przerost ilościowy organizacyj społecznych kładzie się wielkim ciężarem zbytecznej pisaniny i formalistyki. Już gdzieniegdzie tworzą się wspólne Komitety Społeczne czy Komisje porozumiewawcze stowarzyszeń społecznych. Ale to jeszcze nie rozwiązuje sprawy, jedynie ułatwia pracę na miejscu. Poszczególne organizacje związane są statutowemi obowiązkami posiadania własnych, wieloosobowych zarządów, odbywania walnych zebrań, prowadzenia własnej rachunkowości itd. I tego same zmienić, ani uprościć nie mogą. Likwidowanie pożytecznych w zasadzie organizacyj byłoby zaś niewątpliwie szkodliwe.

Z tem zagadnieniem prowincja, ten drobny partykularz, nie może dać sobie rady. Potrzebna jest inicjatywa i porozumienie Zarządów Centralnych. Ale jakże tu ma wystąpić z taką sprawą do Centralnego Zarządu jakiejś instytucji prezes oddziału w jakimś Iksinowie. Jakże tu powiedzieć tym panom, że na to, iżby zebrać składki, i raz na rok urządzić tydzień propagandowy i dwa odczyty, nie potrzeba właściwie zarządu i walnych zebrań, a wystarczyłby jeden delegat w Komisji Porozumiewawczej? Pomyślą sobie, że prezes z Iksinowa nie jest uspołeczniony i dezerteruje z szeregów potrzebnej, pożytecznej i godnej poparcia instytucji.

Dlatego też sądzimy, że inicjatywa, zmierzająca do likwidacji szkodliwego przerostu ilościowego stowarzyszeń społecznych w małych miastach i miasteczkach wyjść musi z centralnych zarządów tych stowarzyszeń, które nad tą naprawdę poważną, choć może formalnie trudną do załatwienia kwestją, zastanowić się powinny poważnie.

A. Wieczorkiewicz.

KU UKRAINIE.

Ostatni numer „Biuletynu polsko-ukraińskiego" poświęcony został pamięci Tarasa Szewczenki. Prawie jednocześnie we Lwowie wyszedł powiększony numer żywo i inteligentnie redagowanego miesięcznika „Sygnały", poświęcony twórczości artystycznej ukraińskiej. Podnosimy to jako fakty bardzo poważne i bardzo doniosłe w naszem życiu. Ziemia Halicka jest częścią Rzeczypospolitej i znajomość jej obowiązuje obywatela tej Rzeczypospolitej. Tymczasem z tą znajomością u nas jest wcale nietęgo. Jak czytamy w artykule p. Zajcewa (Biuletyn), tak wyjątkowa postać, jak Taras Szewczenko, poeta, który niemało polskim wpływom zawdzięczał, poprostu nie znalazł w Polsce należytej oceny, a stopień oddziaływania nań kultury polskiej oceniany bywał przez wszystkich tylko nie przez nas.

A i dzisiejsza twórczość ukraińska to naprawdę dla nas terra incognita. Przeciętny Polak dopuszcza myśl, że tam, gdzieś na południowym wschodzie wykluwa się coś „regjonalnego", kształtują się jakieś „właściwości" plemienne, być może nawet bardzo ciekawe. I na tem koniec. A tymczasem na tym „południowym wschodzie", w owej Ziemi Halickiej odbywa się coś poprostu wyjątkowo interesującego dla każdego człowieka inteligentnego. Tam, nieliczny odłam narodu, którego kilkakrotnie większa masa znalazła się po drugiej stronie granicy i została kulturalnie, społecznie całkowicie odcięta, przyjmuje na siebie obowiązek, zadanie utrzymania całokształtu kultury narodowej.

Dane, jakiemi rozporządza, są poprostu opłakane. Niema większego miasta ukraińskiego, a w całej Ziemi Halickiej niema ani jednego miasta, w którem by ukraińcy stanowili większość. Odsetek inteligencji nieliczny, odsetek ludzi już nie bogatych, ale poprostu zamożnych, zupełnie znikomy. Czytelnik żyje na wsi, żyje wolno, nie śpieszy mu się. Nowoczesne narzędzia kultury w rodzaju radja się zupełnie niedostępne. Książka rozchodzi się w najlepszym wypadku w jakim 1000 egzemplarzy — czyli literatura nie żywi. A nadewszystko — brak wyższej uczelni, brak tego niezbędnego aparatu naukowego, który przecież jest podstawą wszelkiej twórczości.

Ale ten naród pragnie przerobić całość kultury na swój użytek, chce na każdem polu uzewnętrznić swą twarz, pragnie rozwinąć się do poziomu kulturalnej samowystarczalności, zdobyć możność promieniowania na ujarzmioną przez rządy radzieckie większą część swojego społeczeństwa. Pragnie i czyni. Czyni z trudem poprostu tytanicznym, z wysiłkiem imponującym. A my — nie raczymy tego nawet widzieć.

Czy w ten sposób my nie uszczuplamy własnego Państwa? Czy nie ubożymy się zupełnie dobrowolnie? Czy w ten sposób nie wyrzekamy się jakiegokolwiek wpływu na kształtowanie psychiki ukraińskiej? Nie ulega wątpliwości, że tak jest właśnie. Doprowadzimy do tego, że jedyną płaszczyzną styczną między nami a ukraińcami wytwarza — władza administracyjna i nakładane przez nią ciężary i ograniczenia. Cała nasza kultura wskutek tego nosi dla ukraińca charakter czegoś— urzędowego, a więc przyjmowanego ozięble, jeżeli nie niechętnie, ba, jeżeli nie wrogo.

To też inicjatywa właśnie we Lwowie wychodzących „Sygnałów" podania nam bodaj w krótkim przeglądzie dorobku artystycznego ukraińców zasługuje na najwyższe uznanie. Numer został ułożony starannie i umiejętnie, został ułożony z pietyzmem. W wywiadzie swym, udzielonym redakcji, p. Rudnicki, jedna z czołowych postaci ruchu ukraińskiego z ironją traktuje możność tłumaczenia sobie faktu ukazania się tego numeru tem, że „jakiś nowy wiatr powiał od zachodu". Numer ten ma daleko donioślejsze znaczenie. Świadczy on, że nareszcie na wschodzie poczyna być rozumiana konieczność poznania się z Ukraińcami. Poznania się. No, nareszcie w tym Lwowie objawiła się inicjatywa ujrzenia w Ukraińcu czegoś więcej niż barbarzyńskiego, krwawego hajdamaki. Z poznania się może płynąć współpraca. A napewno wypłynie świadomość, że naród ukraiński musi uzyskać u nas tak nieodzowne narzędzie kultury, jak uniwersytet.

„Sygnałom" należy się duża wdzięczność za ich kulturalną, szlachetną inicjatywę. Mamy nadzieję, że na jednym numerze one nie poprzestaną i wytrwają na słusznie obranej drodze.

E. Iwanicki.

D Y S K U S J A

LITERATURA PROLETARJACKA.

Nie jestem krytykiem literackim i nie z fachowego punktu widzenia pragnę zabrać głos w dyskusji nad „Przedmieściem". Interesuje mnie jego strona społeczna, jak ją sobie postawili Szanowni Autorzy.

Wstęp zapowiada nam stworzenie literatury „proletarjackiej". Przeczytałem te słowa — przyznam się — z najwyższą nieufnością. Ten, kogo nie stać na tworzenie literatury prawdziwej, wielkiej, usiłuje pospolicie przemycić się jakoś do niej za pomocą szlachetnie brzmiącego przymiotnika. Tak Rodziewiczówna tworzyła literaturę „narodową", Jeske-Choiński — „katolicką", jakaś Zarzycka — patrjotyczną. Mamy już dziś literatury państwową, legjonową, liberalną, chrześcijańską, moralną — no teraz dochodzi do tego literatura — proletarjacka. Tak jakoś wygląda, że w „Wyrąbanym chodniku" p. Morcinek ma być mniej proletarjacki, niż w „Przedmieściu". Czy dlatego, że książka ta została poprzedzona wstępem znanej zaszczytnie działaczki, p. Haliny Krahelskiej, posądzanej o „marksizm"?

Trudno powiedzieć, by w tym wypadku przymiotnikiem pokrywali Szanowni Autorzy brak prawdziwego talentu. Nie. Ale w mojem przekonaniu sami oni jeszcze nie zdecydowali, na czem ich proletarjackość polegać winna. Wziąć taki pierwszy „kawałek" p Boguszewskiej. Zapewne, opisuje on urywki dziejów „nizin" społecznych. Ale przecie nie ze stanowiska proletarjackiego — tylko raczej właśnie ze stanowiska opieki nad tym „proletarjatem", czy lumpen proletarjatem, jak kto woli. To samo znać w znakomitym opisie jej owej zieleniarki. P. Muszałówna doskonała publicystka weszła w książkę z kolosalnym bagażem reporterskim, zrobionym bardzo inteligentnie, jeszcze bardziej rozwlekle, zupełnie nie beletrystycznie. Ale i tu bardziej może, niż gdziekolwiek indziej znać owo wznoszenie się ponad proletarjat i oglądanie jego życia z góry.

Nie znam życiorysu p. Muszałówny. Jest to bardzo nieprzeciętny talent i wysoka kultura. Znać w niej wiedzę dużą, a jeżeli się nie mylę i dużą znajomość świata — Europy — może i więcej, niż Europy. I wygląda jeszcze dla mnie, dla laika, że p. Muszałówna chyba wydostała sie na te wyżyny o własnych siłach, gdyż świat „ludu" zna bardzo dokładnie, jakoby z przeżyć własnych. I oto dlaczego u niej więcej niż u kogo innego znać to spojrzenie z góry, bo ona właśnie doskonale zna to środowisko — dla niej nie stanowi ono legendy. dla niej to rzeczywista rzeczywistość, jak mawiał prof. Bartel.

Dla większości z państwa piszących w „Przedmieściu" sprawa proletarjatu — to folklor i tylko folklor. Siły tam nie znajdują oni żadnej. Mocy nie odkrywają też żadnej — wartości nowych też nie odszukali. Po przeczytaniu „Przedmieścia" człowiek nabiera przeświadczenia, że Szanowni Autorzy pragnęliby, aby warstwy wyższe zajęły się nieco więcej... wychowaniem proletrajatu.

Ale to nie jest literatura proletarjacka. To jest literatura opisowa, powiedzmy, podróżnicza. I jako taką chętnie byśmy ją przyjęli, żeby tylko na przyszłość nikt nam tak naiwnie nie próbował opisywać hut szklanych i życia w jej otoczeniu, bo to... cokolwiek za naiwne.

Tylko że w tym wypadku należy trochę usilniej przykładać się do pracy redakcyjnej, bo takie misz masz, jakie zrobiono z „Przedmieścia" — naprawdę nie uchodzi. Reportaż, nowelki, szkice — wszystko to poplątane jedno z drugiem bez ładu i składu. Sama p. Redaktorka Boguszewska nawsadzała tam własnych rzeczy do każdego nieomal działu, jakby chodziło nie o skomponowanie książki, ale o zapełnienie pewnej ilości arkuszy druku. Obok rzeczy dobrych i ładnych znajdujemy takie, Bóg wie co, jak choćby ta kwestja nieszczęsna, w której niewiadomo, naprawdę, gdzie Rzym, gdzie Krym, a gdzie karczmy babińskie, czyli co autorzy widzieli, co słyszeli, a czego się domyślili — wiadomo tylko, że nic nie przeżyli — albo że przeżyli zgoła co innego, niż napisali.

Literatura — to literatura — a reportaż — to reportaż. Uzgodnić te rzeczy można — ale do tego trzeba być urodzonym redaktorem, a nie tylko utalentowanym pisarzem. W „Przedmieściu" są talenty, — ale linji redaktorskiej niema żadnej. A mojem skromnem zdaniem dlatego, że niema tam myśli przewodniej. Zabierając się do tworzenia literatury „proletarjackiej", stworzono coś w rodzaju zbiorku wywiadów „opieki indywidualnej", jak to w „Człowieku w Polsce" pisze nieraz p. Surzyński. I zapewne dlatego Pismo to tak się książką tą entuzjazmuje. Znalazł swój swego — choć jeden udaje czerwonego, a drugi nieco się pudrem wybiela — tak po wierzchu.

Ludwik Sadowski.

SZUKANIE.

Znaleźć miejsce dla człowieka u nas, na naszej ziemi, dla człowieka, który nie organizuje wojska, ani akademji literatury, ani szkolnictwa, nie prowadzi agitacji wyborczej — zaprawdę nie jest rzeczą tak łatwą. Od chwili, gdy Niemcy uciekli z naszego kraju, ten tylko zasługuje na uwagę w naszej opinji, kto bodaj w kawiarni rozdaje teki, mandaty, albo co najmniej wydaje zlecenia rządowi. Ale kto nie chce, czy nie może być ministrem, posłem - pułkownikiem — gdzie on się ma ulokować?

Tego miejsca szuka Michał Rusinek dla swojego bohatera, „człowieka w bramie", człowieka z szarego tłumu, który niesłychaną energją, pracą nieustępliwą, zdobywa sobie pozycję w świecie.

„Pozycję"... źle powiedzieliśmy. Właśnie, że jej nie zdobywa. Pracuje, więc coś czyni, czyni coś pozytywnego. I dziwna rzecz — ta praca oddala go od ludzi, z którymi żyje, a — nie zbliża do nikogo. Jak gdyby wyniki jej szły w próżnię, jak gdyby można było kupować coś nie u ludzi, sprzedawać nie ludziom — mieć do czynienia z nieosobowemi „firmami", które pozostają na nas bez wpływu. I kiedy bohater Rusinka tak nagle, ni z tego ni z owego wygłasza przemówienie, co to za zdobycze ma naród z bojów legjonowych — zdumieni pytamy, skąd on to wie? Przecie w tem kole, w którem on żyje, w tym splocie interesów, w którem pozostaje — o tem się poprostu nie myśli.

I wszystkie wysiłki owego bohatera, kilkoletnia harówka, dziesiątki tysięcy zebranego kapitału w ostateczności przydają się tylko po to, aby kupić bilet drugiej klasy do rodzinnego miasta (z którego wyjechał trzecią), obejrzeć kamienicę, w której był kiedyś synem stróżki i przypadkowo wyciągnąć z pod konia synka nowej stróżki. To można było zrobić bez jazdy do Gdyni i nauki fotografowania. To symbol za słaby, aby coś mógł wyrażać.

Michał Rusinek ma niewątpliwy talent. Powieść jego czyta się swobodnie, powstaje cały szereg problematów, nad rozwiązaniem których czytelnik się głowi razem z autorem. Postawione pytania interesują poważnie i głęboko — tylko p. Rusinek nie umie sam ich rozwinąć — za pilno mu pisać. Niema też odwagi powiedzieć — nie rozwiązałem i zostawić kwestję otwartą, co bywa czasem znacznie płodniejsze od szablonowej odpowiedzi.

Brak dojrzałości w samej metodzie pracy. Rusinek zdaje się być zwolennikiem równouprawnienia słów. Niema słów „przyzwoitych" i „nieprzyzwoitych". Bardzo dobrze. Słowo jest od tego, by było używane. Ale każde słowo ma swoją barwę i wartość i dostojeństwo. Nadużywanie wszelkiego rodzaju wzniosłości jest ckliwe. Ale równie ckliwe, tak właśnie ckliwe, jest nadużywanie trywjalności. Rabindranat Tagore napisał dajmy na to powieść erotyczną, w której najmocniejszym gestem jest ujęcie dłoni kobiety. Stopniowanie wrażeń przecie jest tam tak artystyczne, że nikły odruch stwarza moment ogromnego napięcia dramatycznego. Rusinek nie umie jeszcze stopniować i dlatego nie potrafi wydobyć dramatyzmu w zestawieniu ani słów, ani z obrazów. Wszystko zlewa w szarzyznę.

To Żeromski jest u nas twórcą wielkiego baroku powieściowego. Ale tam złamanie linij jasnych jest narzędziem wypowiedzenia się (fabryka na Krochmalnej w „Ludziach bezdomnych", wrażenia z okopów „Charitas"). Rusinek nie łamie linji — bo jej nie ma.

A przecież szczery, prawdziwy talent bije z tej książki. Próby doświadczeń, czasem dwustronne (w pracowni fotograficznej) tchną prawdziwym zapałem, porywają, przejmują. Usiłowania wydobycia istotnego piękna z szarzyzny niejednokrotnie zbliżają się do istotnej realizacji artystycznej. Rusinek jest szczerym artystą niewątpliwie.

I społecznie i artystycznie jest to szukanie i jako takie posiada wartość. Spodziewamy się jednak, że następne rzeczy Rusinka będą lepiej przemyślane i opracowane. Talent obowiązuje.

An.

JAK ZORANY?

Cyfry kolektywizacji wsi rosyjskiej były naprawdę imponujące — przekroczyły bowiem najśmielsze przypuszczenia organizatorów, zdumiały Europę zainteresowały społeczników. Sprawozdania z tej dziedziny stały się niezmiernie popularne. Tysiące zagadnień gospodarczych intrygowały ekonomistów. Jak kolektywizacja wpłynęła na wydajność roli, na wpływy podatkowe itd. itd. Poza wszystkiem, poza sferą zainteresowań naszych nieomal pozostało, jakie czynniki wpłynęły na tak nadzwyczajne powodzenie akcji? Jakie stosunki wytworzyły się na wsi? Ku czemu dąży ta kolektywizowana wieś rosyjska. Na wszystkie te pytania nie może odpowiedzieć cyfra. Tu trzeba czegoś więcej, trzeba przeniknąć w głąb życia. Przeniknąć w głąb życia usiłuje między innymi Szołochow w niezmiernie ciekawej powieści „Podniataja celina", której tytuł w polskim niedokładnym przekładzie brzmi „Zorany ugor".

Agitator, organizator kolektywu, robotnik fabryczny z pośród „szturmowców", przyjeżdża na wieś, aby tworzyć kolektyw. Jest to ideowiec skończony, przeniknięty zasadami leninizmu, tak jak potrafił go sobie przyswoić. Bezwzględność ideowa obowiązuje go w całej pełni. Przechodzi do porządku dziennego nad wszelkiemi ostrzeżeniami biurokracji co do ostrożności poczynań. Gromadzi chłopów i przeprowadza uchwałę o stworzeniu kolektywu. Aby zaś nikt nie przeszkadzał, rozpoczyna od wywłaszczenia i pozbawienia praw „kułaków".

Uchwała zapada jednogłośnie, sprawa zdecydowana. Wstrzymuje się od głosowania zrazu jakiś chłopek, który doświadczył ponoć różnych dobrodziejstw od jednego z tych kułaków. Ta wdzięczność zostaje napiętnowana, jako zdrada, a wyraziciel jej w oczach autora jest lichotą. A staje ta lichota w obronie nie byle kogo. Staje w obronie byłego żołnierza armji czerwonej, ideowca, który po powrocie na ziemię, decyduje, że teraz trzeba zabrać się do roboty — przecież i władze sowieckie wzywały wszystkich do pracy, aby chleba w mieście nie zabrakło. Otóż ten żołnierz chleba dostarczał. Obsiewał coraz więcej. Zrywał się w pracy. Ale rósł w bogactwo. Oczywiście jest to zdradą interesów i ideologji proletarjatu. Ten zdrajca musi być wywłaszczony.

Szołochow daje dziką scenę tego wywłaszczenia z realizmem, zdolnym wzniecić najbardziej kategoryczny protest. Ale inne sceny, od opisywania których się wstrzymuje, są jeszcze straszniejsze. Inny patrol wywłaszczający wyrzucał rodzinę, w której jedenaścioro dzieci pozostawało bez domu, bez chleba. Był tam nie bunt, ale płacz, błaganie o litość. Kierownik patrolu, były żołnierz, z obłąkanym wzrokiem zwraca się do organizatora i krzyczy, że już nie przyjmie więcej na się tych funkcyj katowskich. A wtedy ten poczyna nacierać. Żal ci ich? A co oni robili (czytelnik zdumiony pyta, czy te jedenaścioro dzieci,)I tu zaczyna się oskarżenie. Matka owego organizatora musiała prostytucję uprawiać, żeby on i jego rodzeństwo nie umarli z głodu. Istny utrywialniony wykład podług monologu Mormeladowa ze „Zbrodni i kary" Dostojewskiego.

Nie wiemy, czy Szołochow miał zamiar napisać satyrę tragiczną, czy też naprawdę w Sowietach istnieje tego rodzaju atrofja zmysłu moralnego. Takie to wszystko jest proste: teorja zaliczyła kułaka do burżuazji. Ustrój burżuazyjny jest odpowiedzialny za prostytuowanie się matki organizatora-robotnika (choć z jej fachu korzystali zapewne właśnie robotnicy, bo do takiej nory burżuj nie zagląda), i oto wyrzuca się na ulicę, a potem wysyła na północ 11 dzieci człowieka, który zatrudniał jednego czy trzech parobków. I argumenty agitatora są zupełnie wystarczające. Kozak przerażony swem własnem okrucieństwem „nawraca się" i idzie dalej wywłaszczać.

Skonfiskowano „kułakom" wszystko. Gospo-

darstwo, inwentarz, odzież. Pozostawiono bez niczego. Potem zwyczajna uchwała ogólnego zebrania bez żadnego sądu wysyła ich na północ. Z całości opowiadania wynika, że są to najzdolniejsi, najinteligentniejsi. najgospodarniejsi i najpracowitsi ludzie na wsi.

Pozostaje na miejscu hołotka, której autor nie szczędzi szyderstwa. Zaczynają się więc takie historje, jak zarzynanie bydła. Wszyscy obżerają się mięsem. Cielaki, barany — wszystko idzie pod nóż. Kolektywizacja bydła przerywa tę akcję „sabotażową", do której oczywiście namawia jakiś ukryty u jednego z chłopów białogwardyjski oficer. Zdawałoby się, że inwentarz już jest zmarnowany. Gdzie tam! Braku jego nie znać, gdy przychodzi czas polnej roboty. I ziarno się znalazło i sprzężaj i wszystko· od tym względem autor jest wybitnym optymistą. Tylko mimowoli przychodzi pytanie, że skoro był taki nadmiar bydła — to i dostatek tam chyba panował. Przychodzi orka i siewy. Trudno ludzi pociągnąć do pracy. Ale ideowiec-organizator umie natchnąć wszystkich swoim przykładem. Stwarza „socjalistyczne współzawodnictwo". Pomoc mu przychodzi w postaci kolumny agitacyjnej.

Mamy i próbkę agitacji. Taki sobie chłopaczek przychodzi do rodziny i by ją zachęcić do oddawania zboża, opowiada o... katowaniu jakiegoś komunisty przez władze rumuńskie. Z tego wynika, że trzeba tego komunisty bronić, a na obronę — trzeba kolektywu... kołchozu·

I znów nie wiemy, czy mamy do czynienia z cynizmem, czy z satyrą. Kiedy pytają owego agitatora poufnie, czy prawdę powiedział — gniewa się i odpowiada, czy to nie wszystko jedno. Dość, że zboże jest odstawione.

Mamy do czynienia i z „trockizmem", który zostaje bardzo surowo napiętnowany — ale ze wszystkiego wynika, że ten trockista jest właściwie najpożądniejszym człowiekiem, choć bezwarunkowo sfanatyzowanym i zdziczałym, a nieraz poprostu zidjociałym. Niewiadomo, co myśleć o scenie, w której dowiadujemy się, że ów bałwan uczy się zaciekle języka angielskiego, aby poprowadzić proletarjuszy angielskich przeciwko ich burżuazji. Czy autor drwi w żywe oczy, czy nie wie nic o poziomie umysłowym „proletarjusza" angielskiego, by dawać mu tego rodzaju mentora.

Jest i moment erotyczny. Komunizm nie dopuszcza do zamętu płciowego. Nieuporządkowane życie seksualne to powód do wyrzucenia z partji. Niema dość słów na piętnowanie aktów zdrady małżeńskiej. Te rzeczy będą wyciągane na światło dzienne, omawiane publicznie. Zdradzony małżonek nieomal zmuszony zostaje do przepędzenia żony. (Tak jest, przepędzenia!)· I potem zrozumieć nie możemy, jak to się staje, że owa przepędzona dostaje się w ręce organizatora-komunisty. A że baba ładna — wszystko w porządku.

Co krok niespodzianki. Gospodarstwo w kołchozie prowadzi zakonspirowany reakcjonista. Konspiracja beznadziejna, głupia, zalana wódką, usiłuje podważać organizację kołchozu. Ale właściwie podważa ją sobkostwo owej „biedoty" wiejskiej, której autor nie oszczędził żadnych barw ciemniejszych. Ciągle mamy wrażenie, że cały ten kołchoz wisi na włosku. Bo myśl kolektywistyczna jest obca temu środowisku. Czuje się na każdym kroku, że ta „biedota" zgadza się na kołchoz, aby poprostu przerzucić nań ciężar wszelkiego rodzaju świadczeń na rzecz władzy. Do wiosny żarła zapasy, jakie porobili kułacy. A co teraz będzie? Autor odpowiedzi nie daje. Pytania, pytania i pytania — tylko pytania. Co się stanie z tym jedynym człowiekiem zdolnym do organizacji pracy, który przecie jest w organizacji monarchistyczno-sabotażowej? Jak pogodzić „odchylenia" trockistyczne z ortodoksją oficjalnego organizatora — między którymi konflikt zaostrza się przez sprawę kobiety? Kiedy wykryją się szkody wskutek marnotrawstwa poniesione? Kiedy wyjdzie na wierzch brak sumienności, umiejętności? Jak się to wszystko scałkuje?

Nic nie wiemy. W momencie, kiedy zamykamy książkę, mamy wrażenie, że stworzony został jakiś zlepek gospodarczy, który trzyma się obietnicami kredytów, traktorów, siewników, lokomobili, który lada moment rozleci się, bo trzymany jest tylko przez przymus — zamaskowany.

Szołochow, jak powiadamy nagromadził pytań sporo· Ani jednego nie zdołał rozwiązać. Ukazał nam tylko obraz niesłychanego zdziczenia, ukazał bezmyślne sobkostwo, okrywające się grzmiącą frazeologją. Ale i ta frazeologja niema żadnego zrozumienia dla osobistego honoru, lojalności, uczciwości, pracowitości, o ile to wszystko nie służy... materjalnym interesom kolektywu. Ta moralność mrowiska, czy termitów, przepojona w pewnych sferach żarem osobistej krzywdy w przeszłości, apatją urzędnika sowieckiego, cynizmem chłopaka-agitatora, sprawia odrażające wrażenie. Szołochow to spory talent, który rozdziera ramy nakazanej mu propagandy, który nieraz demaskuje sam pustotę wewnętrzną bolszewizmu. Powieść jego to jedno z najwalniejszych oskarżeń, rzuconych komunizmowi wojującemu, oskarżeń zawoalowanych.

I ten bunt, który tli pod owym oranym ugorem sprawia, że tej książki się nie odrzuci, że się ją przeczyta do końca. A jakieś tkwiące w tem wszystkiem jasnowidztwo twórcze daje więcej, niż być może sam on chciał dać i czyni z tej powieści ważny dokument epoki pięciolatki.

Niestety — tłumaczenie niestaranne, niedokładne, nieumiejętne, liche. Czasem poprostu spaczony zostaje cały sens zdania. Takich tłumaczy nie należy dopuszczać do dzieł istotnie wartościowych, jakiem jest książka Szołochowa.

A. Uziembło.

A KIEDY ŚLĄSK?

Spoglądając na nasze Zagłębie węglowe, na ten niesłychany splot powikłań, z jakiemi mamy tam do czynienia, mimowoli zapytuje obywatel Rzeczypospolitej, kiedy nareszcie twarda ręka sprawiedliwości ukróci tę wojnę z interesami polskiemi, jaką prowadzi na tej ziemi kapitał cudzoziemski, kiedy nareszcie skończy się zasilanie tej wojny polskim pieniądzem?

Ale spróbujmy spokojnie zobrazować tę sytuację i dopiero potem wyciągnąć wnioski.

Zagłębie węglowe odgrywa olbrzymią rolę w naszym handlu zagranicznym. Tak jest. Niemałą. W roku zeszłym wywieźliśmy węgla za 189 miljonów złotych. Tylko nie łudźmy się, że ta suma walut, istotnie do nas wpłynęła, a choćby została na

nasze dobro zapisana. Bynajmniej. Trzeba pamiętać o tem, że przemysł węglowy samego Górnego Śląska obciążony jest długami zagranicznemi, dodajmy odrazu długami fikcyjnemi na sumę około 800 miljonów złotych. Z tytułu samych odsetek ucieka od nas co rok z tego tytułu około 70 miljonów złotych. Wszelkiego rodzaju wynagrodzenia, dywidendy itp. wydatki obciążają sumę brutto, jaką dostajemy kwotą conajmniej 30 miljonów złotych. Czysty zatem zysk naszego bilansu płatniczego wynosi najwyżej 89 miljonów. Śmiemy twierdzić, że gdybyśmy ustalili tę sumę eksportową węgla — to bardzo łatwo doszlibyśmy do porozumienia z przemysłem angielskim i bez żadnego dumpingu, bez jakiego kolwiek dopłacania ze strony skarbu i społeczeństwa mgoli lokować za dobrą cenę tę ilość na rynkach zagranicznych. Moglibyśmy ją nawet podnieść i do 100 miljonów złotych z niemałą korzyścią da aszego gospodarstwa.

Ale — powiada się, kopalnictwo zatrudnia znaczną ilość robotników. Tak jest. Pracuje ich w kopalniach pod i nad ziemią razem okrągło biorąc 100 tysięcy osób. To nie bagatela.

Trzeba jednak zdać sobie sprawę z tego, ile to nas kosztuje? Otóż w Polsce hurtowa cena węgla wynosi 29.48 gr. Pomijamy koszt własny wydobycia, który bardzo różnie się ocenia — weźmy tylko cenę węgla w Anglji, który wynosi 23,26 gr., a już otrzymamy różnicę przeszło 6 zł. na tonnie, która dla naszej konsumcji wewnętrznej, wynoszącej 18 miljonów tonn rocznie stanowi około 112 miljonów złotych. Uprzytomnijmy sobie, że gdybyśmy w pewnym dniu zwolnili całe 100 tysięcy górników i wszystkim im płacili wsparcie w wysokości 100 złotych miesięcznie — to potrzebowalibyśmy na to 120 miljonów złotych rocznie. Czyli, żeby owe pieniądze, które nadpłacamy dziś za dumping szły na walkę z bezrobociem, moglibyśmy przy obniżeniu ceny węgla, utrzymać dzisiejsze płace i wprowadzić na kopalniach czterogodzinny dzień roboczy bez żadnej szkody dla naszego gospodarstwa, a nawet dla naszego bilansu płatniczego. Taką jest rzeczywistość, jeżeli uznamy, że angielska cena węgla odpowiada istotnie potrzebom przemysłu naszego. W istocie tak nie jest. Koszt własny tonny nie może być kalkulowany ponad 12 — 14 zł. A w takim razie obliczenia nasze są jeszcze pesymistyczne, a rzeczywistość wykaże ogromne plusy.

Na Śląsku kapitał zagraniczny stanowi 80% ogółu kapitałów. 53% — to kapitał niemiecki. I tu leży cała trudność urządzenia tam stosunków zgodnie z interesami Państwa. Z całą świadomością gmatwa on stosunki na miejscu w sposób poprostu niebywały. Sztuczne obciążenia podnoszą koszta produkcji. Olbrzymie defraudacje, czynione za zgodą i wolą zagranicznych mocodawców obniżają dochody przedsiębiorstw. Zyski idą na przekupstwa, na zwalczanie polskości, na opłacanie polskich strohmanów, którzy kryją wszelkiego rodzaju nadużycia od politycznych do podatkowych. Cały Śląsk to jedno wielkie trzęsawisko, w którem z dnia na dzień pogłębia się demoralizację. A całą ohydę jego odsłania nieskończona ilość procesów już wytoczonych i dopiero przygotowywanych, z których każdy odsłania rąbek jakowychś zgniłych machinacyj na szkodę skarbu, państwa i społeczeństwa.

A pieniądze na to płyną z wyczerpanego gospodarczo organizmu polskiego. Płaci za to skarb w postaci niesłychanych ulg taryfowych na kolejach; płaci za to spożywca węgla opałowego, płaci za to przemysł nasz, zużytkowujący paliwo — płaci za to każdy obywatel Rzeczypospolitej. I pomyśleć, że to wszystko płaci na rzecz wrogiej antypaństwowej roboty.

Gdzie kres? Gdzie wyjście z tej tragicznej wręcz sytuacji?

Otóż twierdzimy, że wyjście jest! Przedsiębiorstwa śląskie dość nabroiły, dość przestępstw skarbowych popełniły, by obciążyć je karami tak wysokiemi, że upaństwowienie ich stanie się sprawą jakich kilkudziesięciu miljonów, że przejęcie większości ich akcyj poprostu przeprowadziło by się automatycznie. Tylko że tu właśnie spotykamy się z sytuacją bodaj najtragiczniejszą. Zarządy obcych spółek akcyjnych zdają się najczynniej w świecie prowokować do tego władzę państwowe. Ano—ukarzcie! Weźcie akcje! prowadźcie sami! A sama tylko wypłata robotników w kopalniach naszego Zagłębia wynosi około 30 miljonów tygodniowo. Skąd władza konfiskująca mogła by wziąć w dzisiejszych warunkach tego rodzaju kapitał obrotowy? Skąd wziąć tyle płynnej gotówki? Dziś dostarczają jej wspaniale przystosowane do tej pracy banki niemieckie. Ale któryż to bank polski, nie wyłączając państwowych mógłby podjąć się tego rodzaju roboty.

Więc kapitalista obcy poprostu drwi sobie z nas. Zdaje mu się, że znajdujemy się w sytuacji bez wyjścia, że możemy nakładać nań tylko takie kary, które lekko sobie na cenie odbije, które inaczej mówiąc my sami zapłacimy, że nie poważymy się natomiast w żadnym razie na akcję poważniejszą, która zgodnie z istniejącem ustawodawstwem skarbowem mogła by zachwiać tytuł własności.

Trzeba się poważnie zastanowić nad tą sprawą. Na Śląsku wytwarza się sytuacja jedyna na świecie, w której premjowana jest robota antypaństwowa, w której ta robota antypaństwowa prowadzona jest za grosz wydobyty z ludności państwa. Na Śląsku wytwarza się sytuacja, w której można najspokojniej w świecie drwić z istniejącego ustawodawstwa. Na Śląsku wywtarza się zaród anarchji, demoralizującej cały aparat państwowy. Od strony Śląska zagraża nam coraz poważniejsze niebezpieczeństwo, na które nie można zamykać oczu. Co czynić? pyta każdy mieszkaniec Śląska, pytać za chwilę będzie każdy obywatel Rzeczypospolitej, odczuwający coraz dobitniej, że ta pozornie najbogatsza, najwyżej uprzemysłowiona nasza dzielnica staje się naszym pasorzytem, że jej pracowita i wysoko ukwalifikowana ludność staje się narzędziem najokrutniejszego szantażu na władzach Rzeczypospolitej. Co czynić — powtarzamy.

Odpowiedź jest jedna. Przewaga obcego kapitału na Górnym Śląsku musi być zniesiona bez względu na to, ileby to miało nas kosztować. Przewadze tej musimy kres położyć, nie cofając się przed największemi ofiarami doraźnemi. Upaństwowienie kopalnictwa winno się stać hasłem dnia, choćby to miało doprowadzić do najwyższego napięcia zdolność emisyjną Banku Polskiego, choćby

trzeba było jeszcze obniżyć stopień pokrycia statutowego.

Nie łudźmy się. To sprawa nietylko samego Śląska — to zagadnienie gospodarcze, stanowiące o całej sytuacji państwowej. Te olbrzymie kapitały pracujące tam dziś jak potworny taran podważają nsazą gospodarkę, podważają od wewnątrz, podważają z dnia na dzień, z godziny na godzinę. I jeżeli my ich przewagi nie złamiemy — to... Ale tej ewentualności przypuścić nie wolno. My musimy złamać ich przewagę.

St. Roth.

Badanie skutków

Czynienie zadość pewnym potrzebom społecznym, czynienie zadość masowe, przynosi nieraz skutki zupełnie nieoczekiwane. Budownictwo domów robotniczych w Wiedniu w konsekwencji wytworzyło dzielnice, żyjące własnem życiem, stanowiące obóz zwarty, obóz, który miał własne twierdze, własne składy broni, własną armję, gotową w każdej chwili przeciwstawić się władzy, o ile ta władza nie odpowiadała jego nastrojom, jego dążeniom. Karabiny mają to do siebie, że w pewnej chwili same poczynają strzelać. Wojsko jakiekolwiek nigdy nie może dać się dobrowolnie rozbroić. Kompromisy socjalnych demokratów wiedeńskich mogły iść bardzo daleko nawet w dziedzinie społecznej ale tylko do rozbrojenia własnej armji, — *wyłącznie*. A wynikało to z metody budowania domów robotniczych i nie z czego innego. Gdyby ta sama ludność była zmieszana z resztą, gdyby robotnik mieszkał obok inteligenta, razem z mieszczaninem — codzienne ich stykanie się zapobiegłoby tworzeniu przepaści, którą tylko masy trupów mogą zapełnić. Trzeba mieć wyobraźnię, projektując jakąś akcję społeczną, ale trzeba też sprawdzać jej skutki, sprawdzać systematycznie, planowo, sprawdzać w każdym indywidualnym wypadku.

Nasz samorząd nie zdobył się na wzniesienie dzielnic robotniczych — ale stworzył za to baraki. Zdawało by się — rzecz najprostsza — dać dach nad głową tym, którzy go nie mają. Masowo stworzono to azylum dla bezdomnych.

Prawda w tem kilkadziesiąt tysięcy głów liczącem dziś mieście niema ani gniazd dla karabinów maszynowych, ani piwnic dla składów amunicji, ani sal do zbiórek, ani strzelnic, ani placów do ćwiczeń, nie stworzono tam armji i niema widoków na jej stworzenie. To wszystko prawda — ale jest coś znacznie gorszego. Okryła to wszystko pleśń apatji. Bije z tych terenów straszny rozkład moralny. To nie tylko brud fizyczny, to nie tylko siedlisko epidemji, które w pewnych chwilach mogą zagrażać miastu — to straszna otchłań nieszczęnia woli i charakterów ludzkich.

Mieszkaniec baraków jest odcięty od świata. Wyrzucony z dzielnicy, w której miał stosunki, w której od czasu do czasu za sprzątanie, czy murowanie, za jakąś dorywczo wykonaną robotę otrzymywał parę groszy, został pozbawiony wszystkiego. Dźwiga on piętno bezdomności, słabości, niedołęstwa, otoczyła go pogarda powszechna. Stałe przestawanie rzeczywiste, czy domniemane z elementem przestępczym czyni człowieka „zapowietrzonym" — stroni odeń wszystko, z czem dotąd przestawał. Życie baraku, publiczne, otwarte niszczy węzły rodzinne, nie pozwala się odosobnić. To nie jeden czy dwóch sublokatorów umieszczonych w izbie — to „życie bez osłonek".

W ten sposób opieka masowa przybrała cechy szkodliwe. To co było możliwe jako środek tymczasowy, jako krótkotrwałe, doraźne zadośćuczynienie pewnym chwilowym potrzebom stało się w zastosowaniu na większą metę klęską społeczną. Nie jest wykluczone, że baraki te będą jako osobliwość poprostu zwiedzane przez przejezdnych, że trafią do różnych bedekerów, jako rzecz charakterystyczna dla naszej stolicy. Ale nie tylko na tem polu masowość może dać wyniki zgoła nieoczekiwane.

Rozdawnictwo odzieży w środowisku, które z zasady ubiera się w starzyznę, w którem człowiek idzie na jakiś Kercelak i upatrzywszy sobie ubranie oddaje za nie swoje, dopłacając, albo żądając dopłaty — takie rozdawnictwo prowadzi często do handlu ubraniami i obuwiem. Ten handel staje się koniecznością, jeżeli w standarcie dojstarczonego towaru pominięte zostaną już przy rozdawnictwie momenty indywidualne. — Ot choćby jeżeli miary obuwia nie odpowiadają potrzebom obdzielonych. Człowiek bierze z tem, aby sprzedać i kupić coś nowego i to bynajmniej nie w celach spekulacyjnych.

Przykładów takich można mnożyć w nieskończoność, ale nie o to nam chodzi. My mówimy o konieczności jaknajściślejszego badania nietylko potrzeby, nie tylko stanu nędzy, ale skutków, jakie w danej chwili udzielona pomoc wywołuje. Nie chodzi o to tylko, czy przed obdarowaniem człowiek jest w potrzebie, ale o to, czy obdarowanie zmienia tryb jego życia i w jakim stopniu.

Niestety, ta sprawa stoi u nas w naszej całej pracy opiekuńczej gorzej niż źle. Z pośród wszystkich znanych nam instytucyj konsekwentnie przeprowadza je tylko Komitet Obywatelski w Warszawie. Częściowo tylko przeprowadza się podobne badania w Łodzi. Gdzieindziej sprzedaż udzielonych świadczeń, czy ich niewłaściwe wykorzystywanie traktowane jest jedynie ze stanowiska policyjnego, ze stanowiska karalności czynu bez należytej oceny przyczyn.

I właściwie dlatego pod wieloma względami w pracy opiekuńczej brodzimy w ciemnościach.

Więc pozwolimy sobie zwrócić uwagę na pewien sposób, za pomocą którego, jak sądzimy, można by było zbliżyć się choć by do poprawy stosunków. Istnieje w Polsce instytucja ciekawa, instytucja poważna — opiekunów społecznych. Sieć ich okrywa już dziś prawie całą Rzeczpospolitą. Przenikają oni wszędzie nieomal. Otóż, czy nie było by rzeczą pożyteczną rozpisać pośród nich ankietę na temat skuteczności środków do dziś stosowanych?

W ogromnej większości są to ludzie jeszcze nie dość wyszkoleni, ba, nie dość zorjentowani w zakresie swej pracy — ale w każdym razie są to jednostki dobrej woli, a nieraz i pełne zapału. Ich zmysł spostrzegawczy, jeżeli tylko ankieta będzie należycie opracowana, niewątpliwie odkryje cały szereg braków, które pokryć można będzie nie tyle przez zwiększenie nakładów pieniężnych, co poprostu przez ulepszenie organizacyjne. A ankieta taka i dla samego wyszkolenia naszych opiekunów dała by wiele, gdyż stała by się bodźcem do pracy poznawczej.

J. Surzyński.

SPRAWY SPOŁECZNE

WALKA Z DRUGOROCZNOŚCIĄ.

Sprawa drugoroczności stała się w ostatnich czasach przedmiotem poważniejszych rozważań i prac organizacyjnych. Jak dowiadujemy się, z inicjatywy jednej z najpoważniejszych działaczek społecznych w Polsce, prof. Heleny Radlińskiej ma dojść do skoordynowania pracy szkoły z opieką nad dzieckiem szkolnem organizacyj opiekuńczych w ten sposób, by każdy uczniaczek nie posiadający dostatecznych warunków do nauki przez uzyskanie niezbędnej pomocy otrzymał jednakową szansę rozwoju. Sprawa dożywiania, ubrania, zaopatrzenia w podręczniki, dostarczenia lokalu świetlicowego i pomocy w nauce, sprawa czystości, polepszenia stosunków w rodzinie — wszystko to stanie się przedmiotem troski tej skoordynowanej akcji, która ostatecznie ma doprowadzić do podniesienia poziomu nauki w szkole. Narazie ścisła koordynacja tego rodzaju obejmie jedną dzielnicę, mianowicie Ochotę.

Ciekawe jest zwłaszcza to, że opieka tego rodzaju wskutek uzgodnienia wysiłków już istniejących placówek nie będzie wymagała prawie żadnych nowych nakładów pieniężnych — wystarczy samo ulepszenie organizacji.

Praca rozpocznie się na Ochocie od reorganizacji zapisów do szkoły w ten sposób, aby spełnienie obowiązku tego ze strony rodziców nie przynosiło im tyle troski i udręczenia.

A więc zmiana nastroju poczekalni, w której znajdą się obecnie gry dla dzieci, absorbujące ich uwagę, zaczem oszczędzające matkom ciągłego uspakajania znudzonej oczekiwaniem dziatwy. W poczekalni każda matka zastanie już tak zwanego łącznika, to jest specjalną osobę, która nietylko wskaże, ale i prowadzić ją będzie od stolika zapisów, do miejsca oględzin lekarskich, wreszcie do biura wykończenia formalności, i wytlumaczy szerzej uwagi, czynione przy zapisie, powód i konsekwencje zawieszenia decyzji odnośnie przyjęcia w danym roku do szkoły.

Owo zawieszenie decyzji, zwycięstwo Inicjatorki koordynacji pracy szkoły z opieką społeczną, wobec dotychczasowych dwuch tylko sposobów postępowania, mianowicie przyjęcia dziecka, lub odroczenia na rok — jest momentem związania szkoły z pracą instytucyj opiekuńczych. Odroczenie przyjęcia następowało dotąd częstokroć z przyczyn, które przy pomocy organizacyj opiekuńczych możnaby wkrótce usunąć bez narażania dziecka na roczne opóźnienie rozpoczęcia nauki. Insekty w główce, jakaś przejściowa dolegliwość, papiery, metryka nie w porządku, oto częste przykłady powodów odroczenia.

Obecnie matka z zawieszoną decyzją otrzyma wychodząc z gmachu szkolnego kartkę, gdzie ma się zgłosić po pomoc w usunięciu przeszkody. Sekcja pomocy Matce i Dziecku Obywatelskiego Komitetu Pomocy Społecznej wydała następującą ulotkę:

MATKO!

1. Jeśli masz dziecko chore Przyjdź otrzymasz poradę i lekarstwo.
2. Chcemy Ci pomóc w trosce Twojej o czystość dziecka.
3. Jeśli dziecku Twemu zagraża utrata dachu nad głową, pomożemy Ci w utrzymaniu mieszkania.
4. Jeśli Twoje dziecko nie ma pomocy ze strony zarabiającego ojca, postaramy się skłonić go do wypełnienia rodzicielskiego obowiązku przez udzielanie alimentów.
5. Jeśli masz trudności z papierami dziecka załatwimy Ci je.
6. Nauczymy Cię wychowywać dziecko trudne do prowadzenia.

Matko zgłoś się w poniedziałki, środy i piątki od 9 — 11 przed poł. Opaczewska 2a.

Rodziny dzieci o zawieszonej decyzji będą następnie odwiedzane w ich mieszkaniach przez łączników w charakterze wysłanników szkoły, funkcje te spełnią w tym roku słuchacze Studjum Pracy Społeczno-Oświatowej na Wolnej Wszechnicy Polskiej: — oraz otoczone opieką ze strony instytucyj opieki społecznej, obecnie powołanej do tego Sekcji, Pomocy Matce i Dziecku Ob. Komitetu Pom. Społ.

W ten sposób rozpoczęta współpraca szkoły z opieką społeczną od pierwszego dnia zetknięcia się dziecka ze szkołą pozwala w dalszym swym rozwoju w ciągu lat na usunięcie tak groźnego zjawiska jakiem jest szeroko rozpowszechniona drugoroczność.

PRZESZKOLENIE WYWIADOWCÓW.

Wydział zdrowia i Opieki społecznej Magistratu Warszawy zdecydował poddać swych wypolskiej n atwórczość Szewczenki, podnosząc „znawiadowców przeszkoleniu. W tym celu został otwarty specjalny kurs teoretyczny, obejmujący cały szereg przedmiotów, jak ustawodawstwo społeczne, metody opieki społecznej, formy opieki społecznej w Warszawie, jej podstawy pedagogiczne, zagadnienia opieki prawnej oraz higjenicznej. Program wykładów jest obmyślany starannie i prelegenci dobrani istotnie wyborowi.

Po przesłuchaniu kursu teoretycznego wywiadowcy mają odbyć praktykę w jednej instytucji warszawskiej, która sprawę tę zdołała postawić na wysokim poziomie, to jest w Sekcji Pomocy Matce i Dziecku Obywatelskiego Komitetu. Będzie to z jednej strony zakończenie praktyczne kursu, z drugiej zaś pewnego rodzaju sprawdzian pożytku zeń płynącego, dopasowania programu do istotnych potrzeb — no a przedewszystkiem samego materjału ludzkiego, zatrudnionego dziś w tym dziale pracy magistrackiej.

PACZKI ŚWIĄTECZNE.

Dzieci pozostające pod opieką Sekcji Pom. Matce i Dziecku Obywatelskiego Komitetu, nie korzystające z obiadów, dostały paczki świąteczne, na które złożyły się pieczywo, wędlina i cukier. Paczek wydano około 2000.

ZNÓW WZGLĘDY WYZNANIOWE.

W dziedzinie opieki społecznej względy wyznaniowe nie mogą odgrywać żadnej roli. Pomoc społeczna musi być dobra i ten ma pierwszeństwo, kto ją dobrze wykonuje. Pewne sfery zdają się tego jeszcze dotąd nie rozumieć i właśnie na tem tle powstała zażarta kampanja prasowa z powodu udzielenia subwencji kuchni dla bezrobotnych pozostającej po dzarządem marjawitów. Objektywne warunki są następujące. Dotąd na prowadzenie kuchni pobierała subwencję t. zw. „Caritas", dostarczając obiadu po 45 gr. (Jest to więcej niż drogo, jeżeli zważymy, że kuchnie warszawskie Komi-

tetu Obywatelskiego dają obiady po 23 gr.), kuchnia marjawicka bez subwencji dostarczała obiadów znacznie lepszych, a ofiarowała się wydawać je wzamian za subwencję po 20 gr. w dzień powszedni i 30 gr. w niedzielę. Zważywszy na to, że Caritas nie potrafiła wydatkować nawet całości subwencji na dożywianie bezrobotnych i co miesiąc zachowywała dla siebie jakieś saldo—wybór pomiędzy instytucjami nie przedstawiał żadnych trudności. Caritas nie spełniła pokładanych w niej nadziei. I oto podnosi się wrzawa. Ci stąd, że inna kuchnia jest tańsza i lepiej prowadzona — ona jest marjawicka! Oczywiście, mamy przynajmniej nadzieję, wrzawa ta nie pomoże. Nadmienić tylko wypada, że bynajmniej nie dziwi nas, że marjawici w Płocku zdystansowali akcję katolicką. Od szeregu lat prowadzą oni też szereg doskonale postawionych zakładów, od lat szeregu ćwiczą pierwszorzędny personel w pracy służby społecznej. „Caritas" posługuje się siłami niefachowemi, niewyćwiczonemi — prowadzi dopiero próby. Niechże te próby prowadzi przecie na koszt własny. Bardzo jest brzydko i nieładnie pokrywać wyznaniem — niedołęstwo i nieumiejętność.

DOM DZIECI ULICY.

Na Pradze otwarty został dom dzieci ulicy. Dom ten ma świetlicę z amplifonem, czytelnię i sypialnie, posiada też placyk na rodzaj boiska sportowego. Z domu korzystać mogą dzieci zarobkujące samodzielnie. Posiłek w nim kosztuje 5 groszy, nocleg na czystej pościeli 10 groszy. Nic więc nie dostaje się tam darmo, można najwyżej zapłatę tę odpracować. Zarząd domu usiłuje wpoić w młodzież zasady życia społecznego, pociągnąć ją do rozrywki kulturalnej przez organizowanie zabaw, chórów i t. d. Placówce tego rodzaju należy życzyć jaknajpiękniejszego rozwoju. Jest ona istotnie potrzebna. Dzieciaki zarobkujące, biorące na swe barki nieraz obowiązek utrzymania nietylko siebie, ale i rodziny, a więc dzieci dzielne, zasługują na opiekę troskliwą, na to, by nie były rzucone na pastwę losu.

USPRAWNIENIE OPIEKI.

Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Warszawy dokłada dużo starań ku usprawnieniu swych prac. Ostatnio poddano gruntownej rozwadze zagadnienie przyjmowania chorych do szpitali, celem usunięcia wszystkich zbędnych formalności, które przedewszystkiem obciążają niepotrzebnie budżet.

ZASIŁKI DLA BEZROBOTNYCH.

Fundusz Bezrobocia ustalił budżet na kwiecień. Na zasiłki dla bezrobotnych figuruje w nim suma 2,8 miljonów zł. dla 60 tys. osób, czyli po czterdzieści parę złotych na osobę przeciętnie. Kwota ta daje pojęcie o przeroście ubezpieczeń społecznych u nas i o poziomie płac, od których tego rodzaju zasiłki są wypłacane.

WYDAWNICTWA.

Zeszyt III tomu II zarysu encyklopedycznego „ŚWIAT I ŻYCIE".

Ukazał się już zeszyt III tomu II zarysu encyklopedycznego „Świat i życie" pod redakcją prof. dr. Zygmunta Łempickiego i zawiera artykuły następujące: **Europa** (prof. dr. St. Pawlawski), **Europa kultura** (prof. dr. Zygmund Łempicki), **Ewolucja** (prof. dr. Jan Dembowski), **Fakir** (prof. dr. Tadeusz Kowalski), **Fala** (prof. dr. Ludwik Wertenstein), **Faszyzm** Sławosz Rybicki), **Feminizm** (Jadwiga Krawczyńska), **Feodalizm** (doc. dr. Tadeusz Manteuffel), **Film** (Jerzy Toeplitz), **Filologja** (prof. dr. Zygmunt Łempicki (**Filozofja** (prof. dr. Władysław Tatarkiewicz), **Fizjologja** (doc. dr. Piotr Słonimski), **Fizyka** (prof. dr. Czesław Białobrzeski i **Florencja** — miasto sztuki (dr. Juljusz Starzyński).

Licznie i starannie dobrane ilustracje zdobią, jak zawsze, i ten piękny zeszyt.

Dr. M. Ziemnowicz: **Nauczanie i wychowanie w Stanach Zjednoczonych A. P.** (Biblj. Pedag. — Dydakt. T. XIII) Książnica Atlas, Lwów—Warszawa, 1934. str. 138.

„Nauczanie i wychowanie" jest jakby pogłębieniem wywodów ustrojowych o szkolnictwie w St. Zjedn., daje tło teoretyczne i przedstawia filozofję wychowania amerykańskiego. Krótki rys historji nauk pedagogicznych, które od tak niedawna stały się nauką, daje nam wyobrażenie o tym ogromie pracy, którego dokonali Dewey, Thorndike, James, Judd, Kilpatrick i in. Na tle tej pracy przedstawia nam Ziemnowicz wspólne psychologiczne podłoże różnych metod nauczania, ilustruje przykładami ich stosowanie i wykazuje, dlaczego te metody zyskały swój rozgłos. Metoda daltońska, projektów, system winnetkowski i garyjski jak również propagowana u nas praca „pod kierunkiem" znalazły tu krytyczną ocenę. Poza metodyczną stroną zajmuje się autor i stroną wychowawczego oddziaływania na młodzież przez szkołę. Z całej książki tchnie pragnienie, aby poszanowanie człowieka i cenienie wartości osobistej, które cechują wychowanie amerykańskie, znalazły większy nacisk i u nas. Ponadto autor nie namawia do naśladownictw form, przeciwnie, stara się wszczepić zaufanie do sił własnych in własnej inicjatywy.

Redaktor i Wydawca: *Adam Uziembło*

Druk. „Nowogrodzka" Warszawa, tel. 680-20